Nr. 2. Warszawa, dnia 9 Stycznia 1892 r. (28 Grudnia 1891 r.). **Rok XII**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZMIENIONY WIDOK.

Przyjaciel, zwolennik i towarzysz Parnella, O'Connor, oświadczył publicznie, że nie widział na wydatnem stanowisku człowieka równie ograniczonego. Wszechwładny przywódca Irlandyi, według niego, nie był zdolny do żadnej oryginalnej myśli, nie posiadał żadnego wykształcenia, zaledwie z nazwiska znał Shakespeare'a i dopiero w więzieniu przeczytał niedawno po raz pierwszy historyę narodu, którego losami kierował. Wszystkie pomysły i plany polityczne, za które walczył, były cudze; on tylko umiał z uporem ciasnej głowy nieugięcie ich bronić. Rzadko jakaś idea wchodziła w jego mózg twardy, ale raz weń wbita, tkwiła gwoździem. Gdyby nie podróż amerykańska, z której przywiózł poważną sumę pieniędzy, stanowiących podstawę kapitału ligi, zdaniem O'Connora, Parnell nie byłby nigdy wydobył się na najniższy stopień sławy. Postępowanie jego podczas rozdarcia się stronnictwa na dwa obozy i wydzierania mu władzy jak gdyby potwierdzało tę charakterystykę, a w każdym razie nie znamionowało ani umysłu, ani charakteru wielkiego. To też gdy legł w grobie, świat nie widział już w nim padającego olbrzyma. Zdawało się, że po śmierci Parnella spoi ona swój rozłam i znowu zjednoczy się w dawnej jednolitości. Bynajmniej. Stronnictwa parnellistów i antiparnellistów pozostały jako stałe wcielenia dążeń narodu i zamierzają w najdzikszy sposób wodzić się za czuby i wybijać sobie zęby. Nie byłoby wcale ani złem, ani gorszącem, przeciwnie, zupełnie naturalnem istnienie w Irlandyi — jak wszędzie — dwu partyj, ale gdyby one opierały się na różnicy w pojmowaniu i urzeczywistnieniu dobra ogólnego, a nie na wspomnieniach i skutkach kłótni osobistej. Parnelliści i antiparnelliści w gruncie rzeczy mają ten sam program, te same cele, tylko pierwsi pozostali wiernie przy swym wodzu, drudzy zaś opuścili go i napadali na jego drużynę. Taka racya rozdziału mogła mieć jakąś wagę i usprawiedliwienie za życia Parnella, dziś jest wprost niedorzeczną. Jakie zaś ona sprowadza wybuchy namiętności, przekonało ostatnie starcie przy wyborach w Wexford. Oto jak naoczni świadkowie malują tę walkę, godną dzikich beczuanów lub mandingów, a wplatającą się w dzieje cywilizowanego narodu.

Od dworca kolei żelaznej prowadzi przez rzekę most, a po obu jego stronach stoją wieże, które obsadzili antiparnelliści od samego rana. Gdy jednak część ich oddaliła się dla odprowadzenia Davitta (swego kandydata), parnelliści rzucili się na most i wyparli zeń nieprzyjaciół. Ci długo nie śmieli zaatakować zwycięzców w obronnych pozycyach, dopiero gdy przybywającymi pociągami nadpłynęły im posiłki, przystąpili do szturmu. W ośmiorzędowych kolumnach, z kijami, przysuwali się ku wieżom, skąd spadał na nich grad kamieni. Wszczęła się walka: pod uderzeniami pękały czaszki, bryzgała krew, ten i ów strącony zleciał w rzekę — wreszcie antiparnelliści zdobyli most i wieże. Na czele ich szedł Michał Davitt. Nagle do „najlepszego z patryotów irlandzkich, którego osobę wszyscy nacyonaliści uważają za świętą," przyskoczył jakiś chłopak i uderzył go tak silnie w głowę, że krew trysnęła strumieniem. Davitt przyłożył chustkę do rany i pomaszerował dalej. Policya, która nie miała siły do stłumienia bójki i nie mogła przedrzeć się przez szeregi wywijające kijami, pełniła rolę straży ratunkowej i opatrywała rannych. Walka trwała dalej, ale zapuśćmy już na nią zasłonę, bo wyżej przytoczony jej moment daje nam wyobrażenie o taktyce.

Nawet przy największej wyrozumiałości dla roznamiętnień ludzkich, trudno uczuć sympatyę dla podobnych widoków. Gdzie spory stronnictw ciągle rozstrzygają się kijami, gdzie zapaśnikom chodzi o rozbicie jaknajwiększej liczby czaszek, gdzie mężowie tej zasługi, co Davitt, który na swych barkach wyniósł Parnella, a wraz z nim sprawę irlandzką, obijani są przez młokosów, jak pijani awanturnicy — tam nie upomina się o swe prawa i nie załatwia swych niezgód domowych ucywilizowany naród, ale burzy się dzicz, miotana ślepymi instynktami. Jeżeli z Parnella opadły blaski, to chyba jeszcze bardziej opadły z Irlandyi. Obrzydza ona światu uczucia, zasady, hasła, które on dotychczas szanował, wydobywa z ludzi drapieżne zwierzęta i rzuca je na siebie z zaciekłością mieszkańców puszczy lub pustyni. W tych „swobodnych wyborach przedstawicieli narodu" tyle gwałtów, w tych objawach jego „wdzięczności" dla „najlepszych synów" tyle brutalnej poniewierki, w tych głowach patryotycznych tyle wycia, w tych zapewnieniach o bezinteresownej miłości dla kraju tyle wstrętnego samolubstwa, że ani myśl, ani uczucie nie znajdują jednego jasnego punktu, na którym mogłyby się zatrzymać i uciekają od tej orgii rozszalałych instynktów.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pokój, pokój, pokój! Wyraz ten brzmi ze wszech stron w wynurzeniach noworocznych. Najmocniej zaakcentował go cesarz Franciszek Józef, który niedawno największy sprawił popłoch przemową swoją do delegacyj. Tym razem, rozwiązując sejm węgierski, zapewnił najbliższych i najdalszych słuchaczów, że rok 1892 będzie jaśniał niezmąconą pogodą. Tę nutę pochwycił i dalej rozwinął organ austryackiego ministeryum spraw zagranicznych, *Fremdenblatt*. Powiada ona, że odwiedziny admirała Gervais w Kronsztadzie i w ogóle zbliżenie się między Rosyą a Francyą wpłynęło wielce na trwałość pokoju, głównie zaś przez to, że rząd francuzki wsparty tak potężną przyjaźnią mógł okiełznać niespokojne żywioły w własnym kraju. *Nowoje Wremia* przyznaje, że przyjaźń rusko-francuzka wzmocniła pokój francuzki, ale dziwi się gazecie austryackiej, że ona widzi obecnie rękojmię bezpieczeństwa w tem, w czem poprzednio widziała całkiem co innego.

Cesarz niemiecki, lubiący przemawiać publicznie przy każdej sposobności, tym razem. w dniu noworocznym, ograniczył się zaledwie do paru słów obojętnych.

New-York-Herald od pewnego czasu puścił się na drogę zmyśleń hałaśliwych. Przypominamy mniemaną rozmowę jego korespondenta z p. Giersem, której ruski minister spraw zagranicznych natychmiast zaprzeczył, nie tylko co do treści, ale nawet co do samego faktu przyjęcia u siebie jakiegokolwiek reportera. Obecnie *Herald* ogłasza nowinę, poczerpniętą z „najlepszego źródła", że pomiędzy Wilhelmem II a Bismarkiem nastąpiło zupełne pojednanie i że b. kanclerz wraca na poprzednie stanowisko. Bajka ta obliczona jest na ludzi bardzo łatwowiernych i powinna była pojawić się przynajmniej nie wtedy, kiedy cesarz niemiecki wystąpił bardzo wyraźnie przeciw dawnemu swemu słudze a jego następcę osypał pochwałami i odznaczył tytułem hrabiowskim. Caprivi promienieje szczególną łaską monarszą i właśnie teraz miałby być usunięty.

Śmierć posła wielko-brytańskiego w Konstantynopolu, White'a i Lyttona w Paryżu, spowodowała liczne zmiany w dyplomacyi angielskiej. Ostatniego zastąpi lord Dufferin z Rzymu, pierwszy nie ma jeszcze następcy; kandydatami są: Drummond Wolff i Evelyn Bering. Stanowisko to bardzo trudne, więc wymaga szczególnych uzdolnień.

Kler francuzki nie mógł wywołać „walki kulturalnej", której bardzo łaknął, i uległ rządowi a właściwie papieżowi. Leon XIII, po rozmowie z posłem Rzeczypospolitej, oświadczył stanowczo jej dostojnikom kościelnym, że nie godzi się na ich wojowniczą postawę i nie będzie popierał uroszczeń. Naturalnie nie pozostawało im nic innego, jak złożyć broń i zwinąć sztandary, które z taką popędliwością rozpostarli.

W Persyi wybuchnął rokosz z powodu wypuszczenia w dzierżawę monopolu tytuniowego. Mimo całej pokory przed „słońcem słońc" poddani szacha wystąpili groźnie przeciw niemu, tak, że musiano ich uśmierzać za pomocą siły zbrojnej. Dotąd wrzenie jeszcze nie uspokoiło się.

Z Hiszpanii nadeszła wiadomość, niesłyszana od lat 20, mianowicie, że rząd tamtejszy postanowił przeprowadzić rozbrojenie. Ma on to uczynić, skróciwszy czas służby wojskowej do lat dwu bez pomnażania armii. Jest to wszakże dopiero projekt, którego losy nie są pewne.

BADANIA NAUKOWE.

ANTROPOLOGIA ZBRODNI.

Cesar Lombroso: *Nouvelles recherches de psychiatrie et d'anthropologie criminelle*, Paryż.

Włoski uczony co lat kilka ogłasza książki, zdające sprawę z badań, dokonanych za ubiegły przeciąg czasu w zakresie antropologii kryminalnej. Od niejakiego czasu wychodzą one w języku francuskim (u Alcana). Przedostatnia ukazała się przed 18 miesiącami, ostatnia w tych dniach. Już ta okoliczność, iż świeża książka mimo swego charakteru sprawozdawczego zajęła przeszło 10 arkuszy druku dowodzi, że antropologia kryminalna cieszy się niezwykłem uznaniem. Bierze ona niejako przykład z mistrza swego, który obecnie ogłosił znowu obszerne dzieło *Palimpsesti del carcerè* z zastrzeżeniem, że jest ono przeznaczone jedynie dla uczonych, a zawiera studya nad 1229 napisami na murach więziennych i 809 dokumentami podobnego rodzaju na marginesach i okładkach książek, czytanych przez zbrodniarzy. Zresztą Lombroso w swem dziełku sprawozdawczem podaje też wybitniejsze fakty i z zakresu psychiatryi, o ile one mają związek ze zbrodnią.

Przyjrzyjmy się naprzód anomaliom morfologicznym. Macedo przeprowadził badania nad anomaliami czaszkowemi u 1000 portugalczyków; Clouston — nad formą podniebienia u „uczciwych," zbrodniarzy i waryatów; Tenchini wydał dzieło trzytomowe, poświęcone studyom nad 130 mózgami zbrodniarzów; nadto mamy specyalne monografie nad czaszką Schenka oraz Karoliny Corday. Co do rysów fizyognomicznych Arno zbadał 151 małoletnich przestępcow, Roncoroni i Mura 100 kobiet uczciwych, 250 zbrodniarek i 50 prostytutek, przyczem winniśmy zaznaczyć fakt charakterystyczny, że nierządnice mniej przedstawiają nieprawidłowości, aniżeli kobiety uczciwe; Penta studyował 500 ciężkich przestępców, Grimaldi prostytutki. Gradenigo przeprowadził badania nad formą ucha u 245 zbrodniarek i 14,000 kobiet uczciwych, a trzeba przyznać, że na podstawie tych różnic tylko z wielkiem naciąganiem można przypuścić istnienie anatomicznego typu zbrodniczego. Bergh czynił poszukiwania nad utatuowaniem prostytutek duńskich w Kopenhadze itd.

Mamy tedy sporą wiązankę poszukiwań w zakresie morfologii zbrodniczej. Jest ona względnie bardzo mało przekonywającą. Natomiast nader interesujące i wymowne są poszukiwania w zakresie czynności fizyologicznych i sferze duchowej przestępców. Trudno tutaj wyliczać prace, z których zdaje sprawę Lombroso, tak one są liczne. Rozdziały, poświęcone zwyrodnieniu epileptycznemu, szałowi zbrodniczemu, anomaliom fizyologicznym obfitują w materyał nader ciekawy. Zwłaszcza zwracają uwagę zwyrodnienie płciowe i inne, występujące niekiedy już u kilkoletniej dziatwy. Między innemi zaznaczymy badania w zakresie dziedziczności chorobliwej. Spisano dzieje duchowe pewnej rodziny w ciągu kilku pokoleń. Jest to rzeczywiste zbiorowisko histeryczek, epileptyków, alkoholików, nierządnic, zbrodniarzów. Nic dziwnego, że kilka takich rodzin, rzuconych niegdyś w odosobnioną osadę, a wieki średnie bardzo temu sprzyjały, może nadać szczególny charakter całej okolicy. Otóż takie „siedliska zbrodni urodzonej" wykryto we Włoszech i Francyi. We Włoszech słynęło miasteczko Artena w pobliżu Rzymu. Położone w najpiękniejszej miejscowości, jest gniazdem złodziejów, morderców i rzezimieszków. Artena wydaje sześć razy więcej zabójstw i ran, i 30 razy więcej rozbojów przydrożnych, aniżeli całe Włochy, które w tego rodzaju zbrodniach trzymają pierwsze miejsce. Z błahych powodów niekiedy popełnia się tutaj morderstwa na rynku podczas białego dnia. Artena posiada oddawna swoją smutną sławę. Sighele przeprowadził badania od r. 1852. Dziad, syn, wnuk idą po tej samej drodze.

---

1)

KNUT HAMSUN.

HAZARD.

Krogul Sel Radi opowiada:

— Przeszłej jesieni odbyłem podróż do Verenjib, okolicy leżącej nad jeziorem Fugomihul. Pewnego ranka przybyłem na czółnie do Damraz. Jest to miejscowość mała, dziwna, ukryta przed światem i przez świat zapomniana, zapomniana przez wszyststkich, prócz tych, którzy ją znają. Siedemmaście domów, kościół, poczta, a na niej flaga — oto Damraz. Znają go dobrze owi gracze i awanturnicy, co to przez trzy miesiące pracują tu nad tem, aby majątek zdobyć, lub też przez jedną tylko noc, aby go stracić. Przyjechałem właśnie w dzień jarmarku: ludność okoliczna tłumem spłynęła. Wokoło kościoła ustawiono namioty z towarami: jeden z nich zwracał uwagę błękitną barwą ścian. Był to namiot znanego Pava ze Sinvára.

W małej odległości od kościoła, między pocztą a słupem z chorągwią, stał hotel. Górne jego piętro też było błękitne; tu mieścił się bank, sale gry.

W hotelu mówiono, że Pavo z pewnością wieczorem przybędzie; zapytałem, kto jest Pavo — roześmiano mi się w oczy!

— Cóż to, nie wiesz pan, że Pavo trzykrotnie bank rozbił? Czyż nie wiesz, że matka jego posiada największe dobra w kraju i że syn niedawno w rulecie cały swój stracił majątek?.. Każde dziecko zna Pava; wszystkie dziewczęta o nim tylko prawią, wieczorem, u studni; pobożni modlą się za niego, ilekroć pamięć im go przypomni. Słowem Pavo — to gracz, to syn rozrzutny, to upadły magnat, ex-Krezus.

Co do namiotu Pava, to kupiła mu go matka, chcąc go tym bodaj sposobem wprowadzić na drogę cnoty. Udałby jej się plan ten może, gdyby Pavo o zajęciu pomyślał na seryo; syn-ladaco tegoż jeszcze tygodnia pomalował namiot na barwę domu gry; dawnego usposobienia bynajmniej nie zmienił. Grywał i nadal, grywał i przegrywał. Cały swój zarobek ze sprzedaży niósł do rulety, od stołu gry odchodził zawsze o wiele uboższy. Namiot jego cieszył się ogromnem uznaniem; sprzedawał bardzo wiele; zachodzili doń wszyscy: mieszczanie i wieśniacy— wszyscy kupowali u Pava ze Sinvára. A matka zawsze obficie dostarczała mu towarów: namiot był pełny aż po sufit.

Wieczorem Pavo miał przyjechać. Całe miasto wiedziało, że on przyjedzie.

* * *

Z wieży rozległy się uderzenia zegaru: słyszałem pięć uderzeń przeciągłych, a tak głośnych, że nawet wrzawa jarmarczna w nich się na chwilę stłumiła. Nagle lokaj hotelowy stuka do moich drzwi. Jest bardzo wzburzony.

— Wystaw pan sobie — mówi - jaśnie pani ze Sinvára też przyjeżdża wieczorem! Nie prosiłem go wcale o tę wiadomość; odpowiedziałem mu zatem, że dama ta nic mnie nie obchodzi. Czy jaśnie pani ze Sinvára nie jest czasem królową Chin?.. A czy jesienią nie nosi przypadkiem ciemnawych sukien?.. Dla kpin zapytałem jeszcze, czy sądzi, że uważam poczciwinę ze Sinvára za ducha świętego we własnej osobie?.. W odpowiedzi wzruszył ramionami, objaśniając mnie, że jaśnie pani jest największą damą na całą okolicę, najbogatszą, że jest przyjaciółką księcia Jariwa i matką Pava. Ona to przyjeżdża.

Zresztą przyjeżdża, aby zobaczyć, jak się dziecku jej dzieje; chce sama widzieć tę ruletę, która syna jej do zguby i zniszczenia prowadzi. Czy to nie czyn mężny?

— Wszystko to nic a nic mnie nie interesuje — odrzekłem lokajowi. Natomiast prosiłem o herbatę. Adje!

Lokaj oddalił się.

O szóstej w hotelu wszczął się wielki ruch — jaśnie pani przybyła. Przybyła razem z synem. Syn ubrany był jasno, matka miała suknie ciemne. Odezwały się dzwony kościelne: bo dobra pani na samym wstępie przyrzekła na kościół sumę tak wielką, że po wsze czasy istnienie mu zapewniała. Prócz tego pocztę obdarzyła nową chorągwią. Panował więc w mieście nastrój wesoły. Służbę na dzień zwolniono, wszyscy wylegli na ulicę, policyant paradował w nowiutenkim uniformie.

Jaśnie pani ze Sinvára była kobietą piękną, o cerze ciemnej, a o spojrzeniu tak bystrem, ognistem, że pod niem zadrżałem. Mówiono, że wiele już w życiu cierpiała, że

Istnieją rodziny, jakby pielęgnujące z pokolenia na pokolenie kult krwawy. Fauvelle odkrył podobne siedlisko w pewnej ilości osad śród lasów Thiérache w Ardenach. Sprawiedliwość miejscowa zamyka wprost oczy, gdyż miałaby zbyt wiele zajęcia. Przybysz, który zabłąka się między tę ludność, wystawia się na mnóstwo przykrości. Jest to godnem uwagi, że ludność ta, żyjąca z przemytnictwa, nietylko pierwiastkami duchowymi, lecz samym wyglądem fizyczno-rasowym wyróżnia się od swoich sąsiadów.

Bardzo wiele miejsca w książce zajmuje polemika Lombrosa z różnymi krytykami. Z prac, z których Lombroso zdaje sprawę, wymienimy jednę, J. Gonzera, o prądach tellurycznych i magnetyzmie ziemskim oraz ich wpływach na działalność mózgów. Autor usiłuje dowieść, że w pewnych okresach, kiedy słońce, księżyc i ziemia staną względem siebie w pewnem położeniu, śród ludności ukazują się istotne prądy elektryczne, które ją podniecają.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

„SFINKS WIEKU XIX."

Spóźniamy się zwykle i podejmujemy ogryzki, rzucone przez innych. Carlyle cieszy się rozgłosem gdzieindziej niemal od lat pięćdziesięciu; tymczasem zawitał do nas dopiero w ostatnich czasach. Istnieje wprawdzie przysłowie, że lepiej późno, niż nigdy, lecz mądrość ta życia codziennego nie zawsze jest prawdziwa. Autor posiada wartość jedynie w swoim czasie, zwłaszcza jeśli talent jego jest nawskróś publicystyczno-bojowy; po upływie kilku dziesiątków lat staje się niekiedy spuścizną archeologiczną, w każdym zaś razie traci wiele na cenie. Carlyle nie stanowi wyjątku, chociaż należy przyznać, iż przyswojono naszej literaturze najlepsze jego dzieła, stojące poniekąd po za wpływem wszystko niszczącego czasu. Przed kilku laty ukazał się *Sartor resartus*, bezwarunkowo arcydzieło w spuściznie literackiej tego pisarza; obecnie wydano *Bohaterów*. Dobre tłomaczenie jest w tym wypadku rzeczą niezbyt łatwą. Carlyle pisał językiem wprost cudackim. Czuć na każdej stronicy, że mocował się z językiem, który nie chciał być mu posłusznym, a „niezłonkowana" myśl nie zawsze znajdowała odpowiednie dla siebie członkowane wyrazy. Stwarzał wtedy charakterystyczne a dziwne terminy. Rozumie się, przekład tych cudactw, tej sekciarskiej gwary chłopstwa szkockiego, która u niego występuje na każdym kroku, oddanie wielu złożonych wyrazów, wszystko to wymaga nader zręcznej i umiejętnej ręki. Język francuski, pokrewny angielskiemu co do budowy słów oderwanych, okazał się niedość elastycznym i tłomacz *Bohaterów* opatrzył swój przekład mnóstwem uwag. Spolszczenie Carlyle'a odbyło się „jakoś" bez tych trudności. Wprawdzie kilka pism wystąpiło z zarzutami, że przekład jest tandetny, ale wydawca czy ktoś inny publicznie odparł, że to jest rzeczą „niemożliwą," gdyż tłomaczenia dokonał—pierwszorzędny literat polski. Nasi literaci nie są zbyt drażliwi w kładzeniu swego nazwiska pod największą lichotę, wydawcy zaś aż nazbyt skwapliwie wymagają, żeby „firma literacka pierwszorzędna" nie ukrywała wstydliwie swego oblicza, śmiało i — dodajmy—bezwstydnie wystawiając siebie jako przyswajaczów. A tu ktoś uczuł rumieniec wstydu z powodu, że ośmielił się spolszczyć Carlyle'a! Znakomity ten autor w jednym ustępie *Bohaterów* woła: „Czyż bowiem wszyscy ludzie, którzy żyją lub żyli kiedykolwiek, nie są żołnierzami jednej i tej samej armii, zaciągniętej w tym celu, aby pod wodzą Nieba stoczyć bój z jednym oraz tym samym wrogiem — z państwem Ciemności i Zła? Dlaczegobyśmy nie mieli uznawać jedni drugich, pocóżbyśmy mieli walczyć nie przeciw wrogowi, lecz pomiędzy sobą dla prostej tylko różnicy uniformu? Wszelkie uniformy są dobre, byleby tylko przyodziewały ludzi mężnych. Wszelka broń będzie pożądana — i turban z błyskawicznym mieczem Araba i potężny spadający na jötunów młot Tora. I okrzyk bojowy Lutra i melodya do marszu Danta, wszystko bezpośrednie oraz szczere jest z nami a nie przeciw nam. Wszyscyśmy pod jednym wodzem, żołnierze tej samej armii." Otóż pomiędzy utworami Carlyle'a jest kilka, które może śmiało przyswoić literaturze rodzimej każdy pisarz, bez względu na przekonania, chyba że wyznaje nader krańcowe poglądy. Z tego powodu też zadziwia nas owa wstydliwość tłomacza *Bohaterów*, chyba że on czuł, iż uczynił niejaką krzywdę myślicielowi angielskiemu. W rzeczy samej Carlyleowski duch ulotnił się w przekładzie.

Niewątpliwie książka jego o bohaterach znajdzie się w licznych rękach, bo co do „Łatacza połatanego" (takie jest znaczenie nagłówka: *Sartor resartus*) wątpię, żeby wielu porzuciło dla niego jakąś poczciwie nudną powieść lub blagiersko - naukową rozprawę. „Sami nie wiecie—mówi Taine—co o nim myśleć od pierwszej chwili. Wszystko, co u niego spotykamy, jest rzeczą nawskróś jego własną: ideje, przekonania, styl, budowa zdań, nawet znaczenie wyrazów. Przekonywacie się wreszcie, że macie do czynienia z istotą niezwykłą, szczątkiem rodu wygasłego, z gatunkiem mastodonta, tułającym się w obcym sobie świecie." Przedstawmy sobie purytanów szkockich z w. XVI i XVII, ich postacie mężne, milczące, choć fanatyczne, zamknięte w sobie, chłopskie z całej natury swojej i przekonań, protestujące w imię Wiary przeciwko Powadze, a jednocześnie uznające całą doniosłość tej Powagi. Co więcej, takiego chłopa-purytanina zanurzmy w oceanie romantyki niemieckiej i transcendentalnej metafizyki z końca przeszłego i początków obecnego stulecia, przeprowadźmy go przez płonące stosy nowoczesnej niewiary, lecz tak, aby pozostał, czem był; wreszcie okadźmy go marzeniami i ideami saint-simonizmu, a wtedy dostaniemy Carlyle'a. Syn chłopa, uciekający pod strzechę i do pługa w ciężkich chwilach życia, kiedy sceptycyzm rozsadzał mu czaszkę, pragnący nawet swoją żonę tam zaciągnąć — ją, skończoną z przyzwyczajeń lalkę salonu, chociaż z gorącem sercem i otwartą głową! Wychował się w otoczeniu sekciarskiem, rodowodowo wiążącem się z tradycyą najzawziętszego purytanizmu. Jego religijność głęboka i szczera, jego pogląd na życie poważny aż do surowości ascetycznej: „Pra-

---

rozdaje dużo pieniędzy, przeważnie na kościoły. Była przyjaciółką księcia Jariwa, posiadała dwa ordery, lecz żadnego z nich nie nosiła. Czarny jej strój odznaczał się nadzwyczajną elegancyą. Jaśnie pani napiła się wina, poczem zaczęła się przyglądać ciekawej gawiedzi, która za nią aż do hotelu się przywlokła. Wszystkich obdarzyła jakimś datkiem. Jedna mała dziewczynka — z Esseret — otrzymała 20 leiów. — Nagle pani pyta:

— Gdzie jest sala gry? Chcę ją zobaczyć!

Zachwycony pomysłem matki, Pavo podaje jej ramię i prowadzi ją na górę. Tłum postępuje za nią.

W sali przyjmują ją z uprzedzającą grzecznością. Ruleta wre w pełnym biegu, gra szaleje; brunet, którego służba tytułuje księciem, usuwa się i ruchem, pełnym szacunku, ustępuje jaśnie pani miejsca przy stole.

W tej chwili trzymający bank woła: „Zero!" i zgarnia wszystkie pieniądze. Leżały na stole stosy srebra, znaczna ilość monet złotych, kilka paczek banknotów — wszystko znika w żelaznej kasie — pod stołem. I znowu gracze stawiają, spokojnie, miarowo, jak gdyby nigdy nic się nie stało. A jednak do rzadkości należało, ażeby zero tak wielką zagarnęło zdobycz. Wszyscy milczą, gra wchodzi w dawne tory, ruleta—w wir, wiruje coraz wolniej; staje — zero! Zero! woła bankier, zbierając pieniądze. Dwa te obiegi wzbogaciły go o kilka tysięcy leiów. I znowu gracze stawiają, książę rzuca garść papierków, nie licząc ich nawet. Nikt nie mówi, wokoło panuje cisza, jeden z lokajów we wzburzeniu uderza kieliszkiem o krawędź stołu: rozlega się delikatny brzęk i ginie po chwili w głuchych tonach wiru rulety.

— Objaśnij mi grę! — mówi jaśnie pani ze Sinvára.

I Pavo, który zasady gry zna jak pacierz, daje jej wszystkie potrzebne wskazówki. Książę budzi jej uwagę.

— Ten młody człowiek rujnuje się — powiada.

I porusza się na krześle tak niespokojnie, jak gdyby tu szło o jej własne pieniądze.

— Książę wcale nie traci — odpowiada Pavo; operuje tylko wygraną. Zresztą gra doskonale!

I w samej rzeczy, książę wygrywał wielkie sumy. Za krzesłem jego stali dwaj lokaje i podawali mu to wodę, to chustkę, ilekroć ją upuścił, oddawali mu wreszcie różne usługi — oczywiście licząc, że hojnie przy końcu gry ich wynagrodzi.

Obok księcia gra wysoki, blady, zrujnowany rumun. Stawia wysoko; dwa ostatnie zera przyprawiły go o stratę kilku tysięcy leiów. Stoi tuż za krzesłem jaśnie pani, stawiając sięga przez jej ramię. Ręka mu drży.

— Stracony! — mówi jaśnie pani.

Pavo potwierdza: Stracony!

— Więc powiedz-że mu, ażeby przestał—ciągnie jaśnie pani dalej w najwyższem wzburzeniu. Pavo objaśnia, że udzielanie rad jest tu wzbronione. — Również nie pozwolono znajdować się w roli widzów — dodaje przebiegle.

Matka spogląda na niego ze zdziwieniem; nie wie, że w sercu Pava kipi już żądza gry. — Przecież prócz nas jest tu ze dwudziestu niegrających!

— To gracze, którzy kolei swojej czekają!

Jaśnie pani wyjmuje paczkę papierków z kieszeni.

— Więc graj! — powiada.

Lecz już po chwili chwyta go za ramię, wstrzymując.

— Powiedz mi, co to jest to zero? Dlaczego zero zawsze wszystko zagarnia?

— Bo zero przedstawia bank — odpowie Pavo. Jeżeli kula zatrzymuje się na zerze, a nikt na nie nie stawił, bank zabiera wygranę.

— A oprócz banku nikt?

— Nikt, chyba jeżeli kto na zero stawiał, w tym razie stawiający wygrywa.

— A wiele wygrywa?

— Trzydzieści pięć razy stawkę.

— Dobrze — rzecze pani — puszczając ramię syna. Dobrze, staw na zero.

— Mamo, zero przed chwilą wygrało!

— Tem lepiej! Staw na zero!

— Alež zero dwa razy po kolei wygrało, na trzydzieści zaś pięć obiegów jest jedna szansa wygranej na zerze!

— Stawiaj!

Pavo rzuca papierek na zero w ostatniej już chwili — ruleta prawie stawała.

— Przegrana! — rzecze matka. Dobrze, jeszcze raz: stawiaj podwójnie, dwadzieścia leiów!

— Pavo nie sprzeciwia się dłużej, stawia raz po razie, wciąż podwójnie. Wokoło sto-

cuj w pocie czoła, bo lenistwo jest matką wszelkich występków," słuchanie obowiązku, chociażby on krwawił serce i łamał życie, poszanowanie dla powagi społecznej nawet w jawnym rokoszu przeciwko niej, a po nad tem wszystkiem „wielkie królestwo milczenia," jako dziedzina ćwiczenia ducha i panowania nad pożądaniami ciała— w takiej to atmosferze purytańskiej krzepł umysł młodego Carlyle'a. Ideałom tym, wyssanym z piersi matki, pozostał on na zawsze wierny. W młodości marzył o kapłaństwie, później cofnął się z tej drogi i wziął się do matematyki, wreszcie zrozumiał, że jego miejsce w owej armii Prawdy, o której wspominaliśmy. Zaciągnął się do niej, aby piórem walczyć za to, co uznawał za godne. Mundur jego jest nowocześnie przykrojonym płaszczem chłopa-purytanina. Obrona powagi społecznej przeciwko prądom skrajnym, napaści na mamonizm kapitalistyczny i formułki wolnej konkurencyi, na krańcowość Rewolucyi francuskiej i czartyzmu — oburzyły przeciwko niemu liberałów i radykałów angielskich; żądanie, aby wszelka powaga miała treść, a nadto, aby arystokracya, jej widome wcielenie w społeczeństwie, stała się matką duchową uboższych i niższych, nie mogło zjednać dlań torysów. To też do r. 1848 jest on sfinksem dla wszystkich i pozostał nim do dnia dzisiejszego dla wielu. „Co to za utalentowany człowiek i jednak jakie paple głupstwa" — tak o nim mówiono naówczas. W walce ze wszystkimi tuła się samotny, niby mastodont. Ideały jego społeczne powtórzył u nas Krasiński: niech panowie wezmą za ręce służebnice i utworzą w jednym chórze różne, lecz zgodne pienia, oparte na powadze z jednej, miłości z drugiej strony—tylko że wyanielony i wydelikatniony panicz nie miał w sobie mocy natury chłopskiej. Wypadki 1848, biegnące wśród zawieruchy społecznej, zjednały umysły dla ideałów Carlyle'a. Powstaje kierunek zachowawczo-społeczny. Kingsley, Maurice, Disraeli kształcą się na nim. Ukazuje się tak zwany toryzm społeczny, który postanawia odpierać falę rewolucyjną z jednej strony przez reformy z góry (np. prawodawstwo społeczne), z drugiej arystokracyę rodową przekształcić na warstwę uczuciową, która dawny miecz, dobywany w obronie lenników, zamieniłaby na opiekę prawodawczą i życiową ludu i nawet zfeodalizowała odpowiednie porządki fabryczne. Poglądy te Carlyle'a występują jasno w *Pamfletach dnia ostatniego*. Tutaj, dotychczas nader mało wyraźny, wypowiada się stanowczo. W jednym z nich żąda utrzymania niewolnictwa z południowych stanów Ameryki północnej, gdyż jest to ustrój sprzyjający powadze i zapewniający lepszy byt materyalny i moralny człowiekowi, niż najemnictwo; w innym oświadcza się przeciwko zasadzie głosowania, ponieważ wtedy Judasz Iskaryota i św. Paweł mieliby jednakie szanse stanięcia u steru władzy. W kilka lat później w *Niagarze huczącej* jeszcze raz podnosi broń przeciwko powszechnemu głosowaniu i parlamentaryzmowi — z powodu ówczesnej reformy w Anglii prawa wyborczego. W 1871 przyklaskuje Niemcom i cieszy się z upadku Francyi, jako godnej kary za lekkomyślność i niewiarę. Jest wtedy uznanym papieżem zachowawczości społecznej w stylu chrześciańsko - feodalno - chłopomańskim. Jak wspominaliśmy, najważniejszą pracą jego jest *Sartor resartus*, gdzie pod postacią walk wewnętrznych filozofa Teufelsdroeckha pisze własne dzieje — owego „chrztu z ognia," kiedy purytanizm jego zmartwychwstaje z chwilowego zwątpienia. Treść jest w najwyższym stopniu oryginalna, poświęcona niby filozofii odzieży. Jak odzież nasza jest tylko narzutką na ciele, podobnie ciało jest jedynie powłoką czegoś innego, wreszcie cały wszechświat, owa wielka maszyna dla sceptyków, zdaniem Carlyle'a, stanowi taką samą odzież. Zwyczaje, instytucye, znaki, wierzenia, wszystko to także przyodziewki różnego rodzaju. „Wszelki emblemat jest ubiorem, który wytkała ręka lub myśl. Wszystko, co posiada byt namacalny, w czem jeden duch uwidocznia siebie innemu, jest szatą, przyodziewaną na czas jakiś i później zrzucaną. Czas i przestrzeń również są taką odzieżą." W miarę jak duch rozwija się w czasie i przestrzeni, zdziewa dawne ubiory. Lecz ludzie nie zaraz spostrzegają, iż „odzież" jest przestarzałą; co więcej, utożsamiają ją z duchem i czczą. Jest to okres bałwochwalstwa. Atoli zjawiają się wielkie duchy, „bohaterzy," którzy zrywają maskę z tego bałwochwalstwa, wyzwalają ducha z więzów odzieży i nie mogąc obyć się bez niej, wznoszą inną, która dla dalszych pokoleń staje się nowym bałwanem. Mahomet, Dante, Luter, Knox — oto tacy bohaterowie, Rousseau, Fryderyk II, Cromwell — to dalszy ich łańcuch. Historya powszechna dla Carlyle'a jest wprost dziejami wielkich mężów. Idee te, rozwinięte w *Bohaterach*, uzupełnił on w specyalnych pracach o Cromwellu, Fryderyku II i in. Walka ta z bałwochwalstwem trwa i obecnie, lecz szermierze dzisiejsi, druzgocąc jedne bałwany, wysunęli inne: formułki naukowe, ubóstwianie sceptycyzmu i anarchii, pojmowanie wszechświata jako maszyny, zaprzeczanie bohaterom i powadze. Te starcia i błędy kreśli w *Historyi Rewolucyi francuskiej* i w ulotnych pamfletach. W *Przeszłości i teraźniejszości* zestawia dawną powagę ojcowską z niepewnością dzisiejszą; w *Czartyzmie* występuje przeciwko mamonizmowi z jego ciemiężeniem tłumów.

Lecz naprózno u Carlylea poszukiwalibyśmy wzorów przyszłości; wie on tylko, co ma nienawidzieć, lecz nie ma pojęcia o budowie, którą odpowiednio do jego ideałów warto byłoby przedsiębrać. W tym względzie zachowuje się jako sfinks rzeczywisty. Jego stanowisko jest identyczne z zachowaniem się chłopstwa purytańskiego w w. XVII. Zdobywszy dyktaturę nad społeczeństwem na czas jakiś, wprost nie wiedziało, co począć: wskrzeszenie królestwa Bożego w sercach nie jest jeszcze programem polityczno-społecznym! Krytycy, nie rozumiejąc Carlyle'a, nadali mu mnóstwo nazw odpowiednich; jest to mastodont, byk dziki, który zabłąkał się w lasach germańskich, wreszcie prorok, nawołujący do zrzucenia starych a przywdziania nowych, chociaż nie wiadomo jakich uniformów. Tymczasem naturę proroka-sfinksa w. XIX łatwo zrozumieć, jeśli uwzględnimy wpływy społeczne. Jest on ostatnim kaznodzieją średniowiecznego chłopstwa szkockiego, które nie wie, gdzie szukać ocalenia. W tym gruncie tkwi i jego radykalizm, i jego zachowawczość, jego wolnomyślna religijność i jego krytyczna powaga, nienawiść ku „mamonizmowi" i uwielbienie feodalnej patryarchalności. Wady

---

łu gracze zmieniają miejsca, wszystko ciśnie się ku dziwnej graczce, ku jaśnie pani ze Sinvára. Pani zdaje się być grą mocno zajęta, ogniste jej oczy śledzą ruch kuli, składa ręce, porusza się niespokojnie na krześle: wciąż przegrywa. Zżyma małą piąstkę; na jednym palcu połyskują dwa drogie pierścienie. Kiedy bankier zamiast zera oznajmia cyfrę dwadzieścia trzy, pani woła:

— Skandal! Czyż to mało przeklęte zero nigdy nie wyjdzie? Ja je nauczę! Stawiaj czterdzieści leiów na zero, Pavo!

— Ależ...

— Stawiaj, stawiaj! Czyż to twoje pieniądze?

— I Pavo stawia. Koło wchodzi w wir, kula dwadzieścia, trzydzieści razy waha się nad każdą liczbą, szpera wśród wszystkich tych szans czarnych i czerwonych, parzystych i nieparzystych, od jednego do trzydziestu czterech, obszukuje cały ten system liczb, węszy każdą cyfrę z osobna, wreszcie staje.

— Zero! woła bankier.

— Patrzaj Pavo, Pavo! A kto miał racyę? Widzisz, wiedziałam, że tak będzie. Podoba mi się to kochane małe zero, najpiękniejsza cyfra w całem kole; jest biała: lubię biały kolor!

Pani jest nadzwyczajnie wzruszona.

— Stawiaj! ha cóż czekasz? Postaw czterdzieści leiów! Wiele wygraliśmy? Tysiąc czterysta? To za mało! Stawiaj! Tracimy czas! Ależ na Boga, dlaczegóż nie stawiasz?

— Nie przypuszczam, iżbyś tak myślała! Zero może już nie wyjść ani razu w ciągu całego wieczora!

— Stawiaj tak, jak ja chcę! A stawiaj jaknajwięcej: pięćset leiów! Co? Może nie wolno? Nic mnie nie obchodzą prawidła tej obrzydliwej rulety! Chcę rozbić bank! Natychmiast stawiaj sumę jaknajwiększą! Wiem, co czynię!

I Pavo znowu stawia: wymienia z bankiem przelotne spojrzenie, rumun na głos się śmieje. Przy sąsiednim stole przerwano grę w Faraona: wszyscy skupiają się koło rulety.

— Zero!

— A co, czy nie mówiłam! — woła jaśnie pani. Widzisz, znowu wygrałam. Wiedziałam to naprzód i dobrze wiedziałam! Nie mów do mnie, nie przeszkadzaj mi! Dlaczego nie wypłacają mi moich pieniędzy? Nie pozwolę im zwlekać z wypłatą mojej wygranej! Naroszcie! Wiele mi się należy? Przelicz, Pavo!

— Trzy tysiące pięćset leiów — brzmi odpowiedź. Wygrałaś mamo około pięciu tysięcy.

— Dobrze. Naturalnie, więcej nie zechcesz postawić na zero, pomimo że przekonałam cię, iż to jest moja liczba. Staw więc na co ci się podoba... Ot, na czerwone!

Czerwone przegrywa.

— Widzisz! Wcale nie masz szczęścia! Pocóż więc idziesz za własnym rozumem, na swoją zgubę? Postaw dwieście na co chcesz, na czarne!

Czarne przegrywa.

— Może więc przyznasz wreszcie, że tak jest, jak ja ci mówię! Grą swoją wprowadzasz mnie w nieszczęście, rujnujesz! Czy to prawda, co ludzie opowiadają, prawda, żeś to ty trzy razy bank rozbił? To rozumiem! A dlaczego potem wszystko przegrałeś? Staw sześćset na parzyste!

— Sześćset — to za wiele!

— No, no, ja się nie boję, jestem pewna, że ich nie przegram; idę o zakład, że nie przegram; staw tysiąc dwieście na parzyste, Pavo! Ja tak chcę!

Parzyste przegrywa.

— Ach, idź, idź już sobie, Pavo! Przyprawisz mnie o kij żebraczy tą grą twoją! Nie zniosę dłużej twojej obecności! Z twojej winy przegrałam tysiąc pięćset leiów; muszę się odegrać! Idź, idź już sobie!

I Pavo wychodzi. Wychodzę razem z nim; on śmieje się, śmieje się jak szalony!.. Czy widziano, ażeby kto tak grał, co? Siedzi i wygrywa tysiące tylko na zasadzie swojej głupoty! Niech ją tam Bóg strzeże! Co za pomysł ze strony tej poczciwiny! Grać w ruletę!.. Pavo zatrzymywał na drodze wszystkich znajomych, opowiadając im ze śmiechem, czego się matka chwyciła..

Wieczorem dowiedziałem się, że jaśnie pani ze Sinvára opuściła salę gry, przegrawszy dziewięć tysięcy leiów.

(D. c. n.).

i zalety Carlyle'a i jego dwuznaczna natura sfinksowa są najlepszem unaocznieniem chłopsko-szkockiego pojmowania świata. Typy pokrewne znajdziemy jeszcze dzisiaj wśród chłopstwa norwezkiego, np. wśród owych sekciarzy, których wyprowadza Kielland w swoim *Kapitanie Worse*, Björnstjerne-Björnson w *Córce rybaczki*. Dopóki był młody, występowały silnie ideały radykalne, w starości wziął górę pierwiastek zachowawczy widnokręgów chłopskich.

J. Wojewódzki.

LISTY PETERSBURSKIE.

Koncert Towarzystwa Dobroczynności. — Tajemnicza nitka. — Tragik p. Leszczyński i jego pomocnicy. — Margaryna.

Dnia 19 grudnia w sali kredytowej odbył się koncert katolickiego Towarzystwa Dobroczynności, który dał dochodu 2100 rs., tj. o 400 rs. więcej, niż roku przeszłego.

Lepszego koncertu chyba nie można sobie wyobrazić; dosyć będzie jeżeli wymienimy uczestniczących. I tak: z opery cesarskiej śpiewak Figner, śpiewaczka—Litwin; wiolonczela: p. Bzul, arfa: p. Zabel, skrzypce: p. Młynarski, fortepian: p. Poznańska, akompaniament: p. Dłuski. Oprócz tego artystka Morska odczytała dwie maluczkie rzeczy: *Za służbą* — Ujejskiego i *Przykry sen* — Gawalewicza.

Przy urządzeniu koncertu p. Połujański, zwykle czynny i zabiegliwy, z powodu nadwątlonego zdrowia nie mógł ofiarować swej pracy; podobno pp. Jober i Knoll wzięli na siebie i tę część trudów, którą on wykonywał.

P. Młynarskiego nie słyszeliśmy od dwu lat prawie. Dziś przekonaliśmy się, że postępuje nader szybko. Jednocześnie z techniką wzrasta siła, moc, ogień. Bywają chwile, gdy dosłownie czaruje słuchaczów.

Panna Janowska znowu nie uczestniczyła; tym razem atoli udało się nam uchwycić nitkę tajemniczego kłębka. Rzecz tak się miała. P. Janowską zaproszono prawie pierwszą; przyrzekła, wybrała sobie śpiew i wespół z p. Młynarskim miała wystąpić. Gdy zyskano dla koncertu tak znakomitego artystę, jakim jest p. Figner, p. Dłuski, zmieniając program wieczoru, uznał, że p. J. powinna śpiewać coś innego, nie ze skrzypcami, lecz sama. Artystka zauważyła, że śpiew opracowała, że na co innego już nie ma czasu, zresztą znajduje taką zmianę niestosowną, a nawet niegrzeczną. P. D. nie chciał ustąpić, owoż p. J. nie było na koncercie.

Powiadają, że wogóle p. D. niechętny jest dla p. J. Wśród artystów zdarzają się takie rzeczy. Tak np. znałem jednego kompozytora, który pogniewał się ze swym przyjacielem za to, że ten nie śpiewał przedewszystkiem piosnek jego kompozycyi.

P. Leszczyński swymi występami w teatsze Nemetti sprawił pewne wrażenie, chociąż musimy oddać mu słuszność, że jest tragikiem drugorzędnym. Widzieliśmy go wojewodą (*Mazepa*), królem Lirem i Otellem, a chociaż wdzięczni mu jesteśmy, że zawitał do nas, lecz częstokroć tak wyglądał, jak gdyby się gniewał umyślnie. Trzeba też przyznać, że krom pp. Kamińskiego, Rolanda i w pewnej mierze Popławskiego, a z niewiast p. Morskiej nikt mu nie pomagał, a niektórzy psuli.

Publiczność umie być szczodrą — nawet p. Kościelecką w roli Desdemony oklaskiwała; natomiast p. Kamińskiego za to, że w *Mazepie* był królem takim, jakim go rysuje Słowacki, tj. niepoczesnym, nasi krytycy zganili.

P. Mielnickiemu w *Królu Lirze* los nieszczęśliwy kazał grać rolę syna, a p. Mielnicki złym być nie umie... Natomiast p. Kopczewski, który rzadko jest dobrym artystą, musiał grać rolę syna dobrego, obaj przeto byli słabi.

P. Popławski był naturalnym Jagonem (*Otello*), za to Gentem (*Król Lear*) średnim; w pierwszym akcie, chcąc wyrazić moc, krzyczał.

P. Roland, gdy zapomniał, że tylko udaje, bywał prawie typowym Mazepą, niestety, chwilami z artysty przekształcał się na aktora.

N. B.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Realizm niemiecki w Wiedniu. — Hauptmanna „Einsame Menschen" w Burgteatrze. — Wiedeńska „Freie Bühne." — Odczyt Pawła Schlenthera „Über Schöngeisterei." — Berta Suttnerowa i „Towarzystwo przyjaciół pokoju."

Walka o „nową poezyę," tocząca się w Berlinie z wrzawą tak wielką, obecnie głośnem echem odbiła się w Wiedniu. Dyrektor Burckhard wystawił w Burgteatrze pięcioaktową tragedyę Hauptmanna „Einsame Menschen," otworzył więc wrota najpoważniejszego niemieckiego instytutu dramatycznego najdzielniejszemu poecie nowej szkoły, lub powiedzmy raczej, jedynemu prawdziwemu poecie w tem gronie. Krytyka wiedeńska, ze Speidlem na czele hołdująca dawniej estetyce, zwróciła się przeciw tej sztuce z gwałtownością, odpowiadającą zajęciu, jakie dla niej okazywała publiczność. Podczas gdy w Berlinie wszyscy wybitni krytycy niewyjmując tych nawet, którzy z nowym kierunkiem się nie zgadzają, uznają Hauptmanna jako poetę o niepospolitym talencie, Speidel i Kalbeck odmawiają mu tego miana. Mimo to nowy kierunek, zwany w niemczech „Realdichtung," znajduje tu coraz więcej przyjaciół, a nawet spowodował już skupienie się ich, podobnie jak w Berlinie, w Lipsku i w Monachium. Od jesieni istnieje tu towarzystwo literackie „Freie Bühne," mające na celu rozwijanie tego kierunku za pomocą odczytów, wieczorów deklamacyjnych i przedstawień dramatycznych. Wiedeńska „Freie Bühne" ma nieco odmienne cechy, aniżeli berlińska. Nie brak i w tem gronie talentów prawdziwych, acz zapoznawanych jeszcze, lecz brak im poważnego nastroju. Żaden z nich nie dorósł do sfery umysłowej Ibsena, a nawet Hauptmanna; są to talenty czysto wiedeńskie, miękkie, bardziej muzykalne, aniżeli filozoficzne; kwestye erotyczne, stanowią oś, około ktorej obracają się wszystkie ich myśli. Nie ma nadto ani jednego krytyka — nie mówiąc wcale o wybitnych, podczas gdy berlińska „Freie Bühne" znalazła silne podpory w Brahmie i Schlentherze.

Schlenther, zajmujący tam obok Frenzla pierwszorzędne stanowisko, przybył w grudniu do Wiednia i wygłosił w „Towarzystwie przyjaciół literatury" odczyt p. t. „Über Schöngeisterei," w którym wystąpił przeciw przestarzałej estetyce i bronił nowej poezyi. Była to więc walka krytyki berlińskiej z wiedeńską, tem bardziej zajmująca, że w pierwszych szeregach krzeseł siedzieli przedstawiciele atakowanej. Nie kusząc się o przetłomaczenie wyrazu „Schöngeist" z obawy, że moglibyśmy spaczyć jego znaczenie, wolimy streścić jego wykład, dany przez Schlenthera. „Schöngeist" według niego przypomina zbankrutowanego szlachcica, który niegdyś wielką odgrywał rolę w salonie margrabiny de Rambouillet w Paryżu, a którego już Molier sportretował w postaci Triszatina. Ów Triszatin i Bellac w „Świecie nudów" — oto typy „Schöngeistu," którego ideały są pozorem bez istoty, formą bez treści. Żyje on w dziedzinie prawdy, dobra i piękna. Lecz co jest prawdziwem? Zapewne nie to, co jest romansowem lub teatralnem. Nowa poezya nie tworzy powieści romantycznych, ani dramatów teatralnych; prawda leży jedynie w dziedzinie tęsknoty. W tem znaczeniu Ibsen środkami prawdy artystycznej dąży do celów moralno-prawdziwych. A co jest dobrem? Samo w sobie nic nie jest dobrem, ani złem: dlatego w najnowszej poezyi odzwierciedlona jest cała nędza ludzkości. A co wreszcie jest pięknem? Można rzecz piękną przedstawić brzydko, a brzydką pięknie. Pojęcie piękna powinno by wogóle zniknąć z estetyki. Najnowsza poezya przedstawia nam człowieka biograficznie, od kolebki do grobu ukazuje nam wyżyny, na które on się wznosi, przepaście, w które się stacza. Zajmuje się ona powstaniem i istotą człowieka, podobnie jak umiejętności społeczne. Ostatnimi „Schöngeistami" literatury niemieckiej są Freytag w powieści „Soll und Haben," która romantykę ściąga w sferę powszedniości, Bertold Auerbach, który w swych powieściach wiejskich zaprawił ją filozofią; Teodor Fontane, najbardziej nowoczesny z romantyków, najbardziej romantyczny wśród nowoczesnych, wreszcie Gottfried-Keller. Są wśród „Schöngeistów" literackich epigonowie klasyków i romantyków. Malują oni na zimno, podczas gdy Ibsen przez trwogę wiedzie do współczucia. Myśli te ilustrował Schlenther szeregiem cytat, które świadczyły o niezwykłem oczytaniu. Publiczność oklaskiwała żywo wywody krytyka berlińskiego, protestując niejako przeciw obecnym—wiedeńskim.

W tych dniach zawiązało się w Wiedniu nowe stowarzyszenie z celem humanitarnym. Baronowa Berta Suttner, autorka powieści „Die Waffen nieder", inicyatorka obecnej międzynarodowej agitacyi pokojowej, skłoniła grono wybitnych osobistości do utworzenia „austryackiego Towarzystwa przyjaciół pokoju". Z założycieli wymieniamy księciu Wredego, hr. Hayosa, barona Pirqueta, generała Mingazzi, hr. Coroniniego, konsula generalnego Scherera, filozofa Carnesie'go, poetę Roseggera. Pierwsze zgromadzenie odbyło się pod przewodnictwom p. Suttnerowej, która na wstępie zdała sprawę z obrad trzeciego kongresu pokojowego w Rzymie. Opowiadała ona o swych wrażeniach, kiedy przewodniczący kongresu udzielił jej naprzód głosu. Przypomniała sobie wówczas, że po raz pierwszy to kobieta przemawia na Kapitolu... Według niej nie należy lekceważyć sobie obrad kongresu pokojowego, ze względu, że wygłaszano tam jedynie „słowa, frazesy, deklamacye". Czyż to nie słowa przygotowują zawsze wojnę, słowa groźby, poduszczania, wyzywania; czyż to nie frazesami broni się zawsze wojny, czyż nie deklamacyami do niej się zachęca? Walka tylko jest prawem przyrody, lecz nie wojna. Wojna, to instytucya ludzka, jak feodalizm, jak sądy na odszczepieńców. Do zniesienia jej potrzebny jest tylko akt woli tych, w których rękach spoczywa władza. Inni mają tylko obowiązek i możność apostolstwa. Celem zaś, do którego zmierzają przyjaciele pokoju, są sądy polubowne zamiast wojen.

Na zaproszenie berlińskiej firmy nakładowej A. Frieda i S-ki, obejmuje baronowa Suttner redakcyę miesięcznika, który zogniskować ma usiłowania przyjaciół pokoju. Pismo to wychodzić będzie pod tytułem: „Die Waffen nieder".

Stwosz.

LITERATURA POLSKA.

Lippert Juliusz, *Historya cywilizacyi w zarysach* (Część pierwsza: pożywienie, odzież, mieszkanie).

Książka, wcielona do piśmiennictwa naszego przez tłomacza, jest streszczonym i spopularyzowanym przez samego autora skrótem jego większego dzieła p. n. *Culturgeschichte der Menschheit*. W przekładzie

polskim ukazała się dotychczas tylko część pierwsza tej przeróbki, zawierająca najpierwsze i najniezbędniejsze nabytki materyalne kultury ludzkiej, a więc: pożywienie, odzież, mieszkanie. Zdaniem badacza osią dziejów cywilizacyi ludzkiej są dzieje „tej pracy, która wyniosła ludzkość z niższego i pełnego kłopotów życia, do stanu, w jakim obecnie się znajduje.“ Wszystko, czego się człowiek dorobił obecnie zawdzięcza swej „wielkiej pracy.“ Za jej towarzyszy i pomocników służyło mu wiele zdolności wrodzonych. „Wielka rozmaitość miejscowych życiowych warunków pozwala mu zdolności tych próbować; stopniowe rozszerzenie się okręgu, w którym przebywał i powolne wędrówki, zależne od geologicznych przewrotów, doskonałą mu po temu nadawały sposobność.“ Kierunek pracy, będącej źródłem obecnej kultury, nie był wszakże bynajmniej wynikiem jakiegoś rozumowania, lecz wypłynął z najprostszego pojęcia *troski o byt*. Ona to pcha człowieka do ulepszenia sztuki zdobywania i przyrządzania pokarmu, uczy wynajdywać narzędzia i sprzęty, prowadzi do organizacyi społecznej, zmusza do udoskonaleń środków porozumiewania się, rozjaśnia umysł i nadaje myślom określone kształty; w dalszym zaś ciągu wytwarza pojęcia własności, pokoju i prawa, pośrednio przyczynia się do wynalazku liczb i pisma, skłania dociekać przyczyn zjawisk świata otaczającego i, według analogii nabytych już pojęć, wytwarza wyobrażenia bóstwa, kult i wreszcie religię całą. Każdy uczestnik „wielkiej pracy,“ wywoływanej przez ten zasadniczy motor, ćwiczy swój umysł w ustawicznym wysiłku pokoleniami, prawo zaś dziedziczności zdolność do tego wysiłku coraz bardziej utrwala i potęguje.

Badacz z całego pasma dziejów wybiera tylko niektóre nici, „przewijające się po różnobarwnej tkaninie pracy cywilizacyjnej,“ występujące jednocześnie, plączące się, rozwijające lub mijające na krosnach lub wrzecionach historyi. Ponieważ jednak „żadna z tych nici nie występuje wyosobniona od innych, ale wszystkie migają jednocześnie i wysnuwają się ze śpiesznie kręcących się wrzecion“; ponieważ rysunku, jaki te nici tworzą, wzrok ludzki pochwycić nie może i wypada zadawalać się jeno badaniem pojedynczych nici, przeto Lippert ogranicza się w pierwszym tomiku popularyzacyi swych badań do przedstawienia przebiegu rzeczowych wyników cywilizacyi, w drugim zastanawia się nad rozwojem urządzeń społecznych, w trzecim — nadto powstawaniem mowy, śpiewu i religii. Streśćmy to, co dostało się do piśmiennictwa naszego w postaci pierwszego tomiku.

Troska o byt jest dźwignią rzeczowych nabytków ludzkości i w następstwie tych ostatnich — źródłem wyższych zdobyczy cywilizacyjnych. Występuje ona jednak na jaw i pcha człowieka po drodze wynalazków i odkryć zwykle tylko pod wpływem mniej sprzyjających warunków otoczenia przyrodniczo-klimatycznego i pod naciskiem mniejszej szczodrobliwości przyrody. Najlepszym tego dowodem jest ta okoliczność, że wyspy oceanu spokojnego, Australia, Nowa Zelandya i Polinezya nie znają zupełnie łuku, że użycie tego narzędzia, powszechnie stosowanego w walce o byt na lądzie amerykańskim, w Azyi i Afryce — nie przeszło po za Nową Kaledonię i wyspy Fidży. Wynika to stąd, że tam człowiek nie miał do czynienia ze zwierzętami drapieżnemi a tu ciągle one zagrażały jego bezpieczeństwu i życiu. Tak samo rzecz się ma ze sztuką użycia ognia. Do tego zasadniczego wynalazku, który odegrał tak doniosłą rolę w rozwoju kultury materyalnej, zdaniem Lipperta, popchnęła człowieka najbardziej nagląca potrzeba walki ze straszncmi zwierzętami. Walkę z niemi człowiek pierwotny rozpoczął z kamienną bronią w ręku, ale noc dla niego była najgroźniejszym sprzymierzeńcem drapieżników— w jej ciemnościach ożywiały się te ostatnie i czyhały na niego. Najprawdopodobniej zatem pierwsze świadome użycie ognia wzięło swój początek w potrzebie zabezpieczania się od dzikich i drapieżnych napastników. Starożytny i wielce upowszechniony zwyczaj podsycania ognia lub też zabierania go z sobą w podróż jest szczątkiem życiowej konieczności palenia ogni w nocy ku postrachowi niebezpiecznego wroga. Jako dalsze udowodnienie tej hypotezy przytacza autor fakt następujący. Wyprawa naukowa wysłana przez Stany Zjednoczone na wyspy oceanu Spokojnego w d. 29 stycznia 1841 r. dotarła do wyspy Fanna-Loa, której mieszkańcy nie znali ognia zupełnie. Nie doszli oni podówczas nawet jeszcze do okresu kamiennego, ponieważ wyspa ta, składająca się z korali, nie dostarczyła materyału odpowiedniego ani w twardej opoce, ani w żadnym kruszcu, gdyż i jednej i drugich brakło. Najostrzejszych narzędzi dostarczały zęby rekina i muszle, pomimo to mieszkania ich zbudowane były porządnie, sprzęty domowe i przyrządy rybackie były poozdabiane pięknie i wyraźnie. Pochodzi to stąd, że tak Polinezya, jak i Australia stanowią niejako świat młodszy, wolny od trapiącej ludzkości — plagi zwierząt drapieżnych.

Mniej lub więcej przyjazne środowisko klimatyczno-przyrodnicze było z góry danymi warunkami wynalazków. Odpowiednio też do niego występowała z większą lub mniejszą siłą troska o byt, będąca ochem duchowem otoczenia człowieka. Potęgował ją jeszcze inny czynnik: rozpłodczy wzrost liczebny rodzaju ludzkiego. On to był owym tłokiem, za którego sprawą jedne plemiona, rozszerzając obręb swego zamieszkania, wypychały inne. Im bardziej jaka miejscowość nadawała się do zamieszkania, tem prędzej proces rozrodu ludności postępował naprzód. Rychło przed grupami, osiadłemi na granicach szczęśliwej krainy, otwierały się dwie ostateczności: albo ulegały one naporowi przeludnienia od środka, albo ustępowały mu zajmowanych dotychczas siedzib, usuwając się wgłąb dzikich i niedostępnych miejscowości. Grupy, za granicami przyjaznego otoczenia zamieszkało, bardziej przyzwyczajono do ciężkiej walki o byt, niżeli jednostki znajdujące się w szczęśliwych warunkach i niewdrożone do walki ze środowiskiem niewdzięcznem, wybierają tę ostatnią i pomykają naprzód.

Stąd też pobudzane ustawiczną troską o byt, w zapasach z naturą stały się bardziej przedsiębierczemi i przemyślnemi; szeregiem wynalazków i odkryć uposażyły bezsilną dotąd ludzkość w środki, unieszkodliwiające ją od wrogich wpływów przyrody i dające przeto możność nietylko zachowania bytu, ale i dalszego rozwoju. Wynalazczość działała w trzech kierunkach potrzeb zasadniczych: zdobywania pokarmu, przygotowywania go i osłony ciała przed zmianami ciepłoty. To, czego na tych polach ludzkość dokonała w ciągu tysięcy pokoleń — stanowi jej dorobek kulturalnorzeczowy. Był to ogrom mozolnej, powolnej i mrówczej pracy; był to szereg zrazu nieudolnych i ciężkich prób, zakończonych w następstwie tem, czem obecnie szczyci się dzisiejszy potomek odległych przodków — procesem stopniowego opanowywania natury, uwieńczonego niemal całkowitem zwycięstwem. Autor nie wątpi, że przeważna część uzdolnień ludzkich rozwijała się po za obrębem przyjaznych warunków.

W książce Lipperta czytelnik ma treściwy obraz tych zdobyczy; dowiaduje się, jak pierwotny człowiek doszedł do rolnictwa i użycia ognia, oswajania i hodowli zwierząt, tkactwa, garbarstwa i żeglarstwa. Poznaje doniosłość kulturalną pracy kobiecej w wielkiej sprawie osiągnięcia pokarmu mieszanego. Zasługa ta polega na tem, że rolnictwo i sztuka lepienia garnków były dziełem niewiasty. Ona to pierwsza, zmuszona nie uczestniczyć w łowach mężczyzny skutkiem długiego karmienia dziecka, podpatrzyła tajemnicę kiełkowania ziarna i wpadła na myśl sztucznej hodowli rośliny i uprawy ziemi, dając początek rolnictwu. Dlatego też sprawa zdobywania tą drogą żywności roślinnej długo była jej monopolem, jak skądinąd znowu dostarczanie pokarmu zwierzęcego (łowy i hodowla bydła) — przywilejem i zaszczytem mężczyzny. Samodzielność wynalazcza kobiety skończyła się wszakże na pierwszym ulepionym przez nią garnku. Od chwili gdy w tem szacownem naczyniu ogniotrwałem roślina znalazła się obok tłuszczu zwierzęcego i mięsa, a dążność organizmu do pokarmu mieszanego została w ten sposób zaspokojona, udział kobiety w rozwoju techniki zacieśnił się do gospodarki domowej i kuchni. Mężczyzna bierze na się prawie niepodzielnie dalsze doskonalenie narzędzi pracy i staje się dostarczycielem żywności surowej, niewiasta zaś przygotowuje sam pokarm.

Taki jest w pobieżnem ujęciu wątek „zarysów kultury“ Lipperta. Przekład tej książki, chociaż niepozbawionej w gruncie rzeczy pożytku, jaki może dać czytelnikowi, nie wzbogaca naszego piśmiennictwa ani jakościowo, ani ilościowo. Tłomaczenie jest nietylko zeszpecone licznemi omyłkami zecera, ale grzeszy niedbalstwem i niepoprawnością języka, skażonego tu i owdzie naleciałością obcą. Mocno należy żałować, że zamiast koszlawego przekładu „zarysu“ dziejów kultury ludzkiej Lipperta, nie obdarzył ktoś naszego czytelnika raczej wytrawnym przekładem większego dzieła tegoż autora (*Culturgeschichte der Menschheit*), albo tłomaczeniem pokrewnego treścią najnowszego dzieła Hermanna. Była by to hojność niemarnotrawna.

Zyg. Piet.

Nowe książki. Niedawno donosiliśmy czytelnikom o wyjściu *Pierwszych zasad fizyki*, tłomaczonych przez p. Kwietniewskiego; znowu ukazał się *Krótki podręcznik fizyki*, ułożony przez p. W. Połkotyckiego (str. 365, cena rs. 1 k. 50). W tej więc dziedzinie jesteśmy na długo zaopatrzeni książkami pomocniczemi.

P. Maksymilian Flaum zamieścił w *Ateneum* i następnie wydał w osobnej odbitce gruntowne swoje studyum o Helmholtzu.

Już i łyżwiarstwo otrzymało u nas „podręcznik systematyczny.“ Jest to przekład dziełka Calistusa ze 120 drzeworytami. Zwolennicy tej zabawy i sztuki mogą przy pomocy tej książeczki nauczyć się wszelkich holendrów, ósemek, trójek, łuków naprzód - wewnętrznych lub zewnętrznych itp.

Znana firma restauracyjno-napojowa A. Stępkowskiego wydała kalendarz na r. 1892, w którym, obok życiorysu jej właściciela, pomieściła ilustracye swego zakładu. Sądzimy, że czytanie tej książki najwięcej nasunie miłych wspomnień literatom i nieliteratom warszawskim. Należałoby do nich dołączyć szlachtę, ale ta zamyka obecnie oczy, przechodząc koło tej pokusy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Pamiątka po Adryanie Baranieckim. — Z uniwersytetu. — Spóźniona rada. — Nędza i dobroczynność. — Jozue a prezydent miasta. — Bazar krajowy. — Prof. Adamkiewicz. — Cudowna korba. — Komedye Przybylskiego — Panna Trapszówna.

Po śmierci Adryana Baranieckiego założyciela wyższego zakładu naukowego dla kobiet, rolę opiekuna przyjęło miasto. Pośpiech, z jakim ogłoszono spis i rozkład odczytów, troskliwość, aby nie uczynić przerwy w rozpoczętych wykładach, zasłu-

gują na uznanie i podziw, jako wielce niepodobne do powolności krakowskiej. Tu, gdzie od wniosku do uchwały prowadzi długa droga aktu fizyologicznego, gdzie kęs zwany wnioskiem formalnym wprzód dobrze ośliniony gadulstwem musi być jeszcze należycie „przetrawiony,“ zanim nareszcie w czyn wejdzie, tu myśl szybko w ciało obleczona — zadziwia. Tym razem może żałować raczej wypada zerwania z tradycyą; może wśród przetrawiania odbiłyby się troskliwsze zastanowienia nad wyborem tematów i prelegentów. Niewiele potrzeba, aby zakład ten odpowiedział celowi, a wcale nie potrzeba niektórych wykładów o szumnych tytułach z treścią nic niemówiącą.

W uniwersytecie dwie katedry otrzymały nowych profesorów; dr. Piekosiński wykłada prawo polskie, a na wydziale rolniczym p. Adametz, profesor akademii rolniczej z Wiednia, mianowany został zwyczajnym profesorem hodowli zwierząt. Ponieważ jednak nie ma pojęcia o naszym języku, polecono mu wyuczyć się go w przeciągu dwu lat, tymczasem wykłada po niemiecku.

Profesor anatomii Teichman, złożony chorobą, nie wykłada; gdzieindziej w podobnym wypadku studenci nie doznaliby zawodu, ani przerwy w pracy, u nas chorego profesora nie ma kto zastąpić. Nie chcę rzucać domysłów, ale prawdą jest, że wśród tutejszych profesorów niektórzy nie znieśliby obok siebie docenta przedmiotu, jaki sami wykładają, skutki zaś tego postępowania są takie, że kilka niezaprzeczonych talentów idzie na marne, a z chwilą opróżnienia katedry prawie wypada ogłosić konkurs na kandydatów, oczywiście — zagranicznych.

Wobec tego nietylko dziwi, ale wprost przeraża zapał, z jakim lwowianie dziękują za obiecany im i zatwierdzony wydział lekarski; nie trzeba być jasnowidzącym, aby przepowiedzieć, że Lwów z tego nie wiele zyska pożytku a Kraków, który podał tę myśl, sam wpadnie w dołek, jaki wykopał z czystych pobudek miłości bliźniego.

Podobno kliniki we Lwowie będą urządzone w sposób najprostszy i o ile to się da, najtańszy; mają mieścić się w szpitalu powszechnym, a profesorowie będą bezpłatnymi prymaryuszami oddziałów; o ile jednak łatwo znaleziono pomieszczenie dla katedr, o tyle trudniej wypadną dalsze starania.

Nie na wiele przyda się rada po niewczasie, a jednak lepiej byłoby, gdyby kraj wraz z rządem chociaż część kapitałów, przeznaczonych nowemu wydziałowi, użyli na rzecz donioślejszą dla biednej Galicyi. Mam na myśli urządzenia zdrowotne w kraju, szpitale i utworzenie posad umożliwiających młodym lekarzom praktykę zawodową. Fałszywie pojęta oszczędność najdotkliwiej odbija się na małych szpitalach naszych miasteczek galicyjskich, a cóż dopiero mówić o pomnożeniu posad lekarzów pomocniczych w szpitalach powszechnych, posad, które zapewniając młodym lekarzom utrzymanie, im samym i krajowi oddają cenną przysługę. Ale nie ma o czem pisać, bo to słowa na wiatr.

Zima objęła nas już całą swą srogością na rozczarowanie biedaków łudzących się, że może w tym roku wcale nie zawita. Nędzarze ugną się pod brzemieniem, na jakie złożyła się zwyczajna bieda, nadzwyczajna drożyzna, choroby i zima. Urzędnicy otrzymują do pensyi dodatki drożyźniane, a dla najbiedniejszych postanowiono zwołać komisyę, mającą się zastanowić nad założeniem wielkiej królikarni. Tymczasem jednak wolno im się żywić zepsutem mięsem, połzgniłemi jarzynami, mieszkać w wilgotnych norach i szukać pociechy w szynkach, na które magistrat wydaje pozwolenia bez ograniczeń. Chyba nie ma drugiego miasta o tylu szynkach! Towarzystwa dobroczynne z pierwszym mrozem stawiły się do apelu, jedno z nich pod godłem „dobrowolnej pracy“ bierze się do rzeczy względnie najmądrzej, to też i ogół, chcący się wreszcie doczekać z całego ogromu krakowskiej dobroczynności filantropii prawdziwej, spieszy tu z pomocą, bo widzi ze skutków, że dzieło niechybione.

Tu, jakby na szyderstwo, dla nędzy stoi ogromny pałac fundacyi Helclów, i widocznie ogromem własnym onieśmiela powołanych do wejrzenia w gospodarkę i przestrzegania warunków zapisu; w różnych punktach miasta wznoszą się budowle, mające przygarnąć ubogich i sieroty; te, które już dawniej istniały, szczelnie zapełnione, a przecież na krakowskim rynku spotkać można wózek popychany przez wyrostka, a w wózku kalekę wystawiającego swoje rany i kalectwo na wierzch, ku wzbudzeniu niezawodnej litości. Pod kościołami roi się od żebractwa, a po domach przeciska się jeden przez drugiego po jałmużnę; niedorostki ziejące zepsuciem od rana do późnej nocy zaczepiają żebraniną przechodniów, a sposobu na usunięcie złego nie widać, bo równie niedbałej gminy, jak nasza, nie ma pod słońcem. A prawda, słońcem się wreszcie zajęła i od niedawna mamy t. z. czas średnio-europejski z różnicą 20 minut od dawnego tutejszego; ponieważ cofnęliśmy skazówki na rozkaz prezydenta, stąd żartów w mieście nie mało, najudatniejszy przyrównał p. Szlachtowskiego do Jozuego, a nawet przyznał mu większą moc i powagę, bo gdy na rozkaz tego ostatniego słońce stanęło,

Nasz prezydent krzyknął: Słońce wstecz! słońce się [cofnęło.
Któryż z nich potężniejszy? Nasz! gdyż jego krzyki,
Pchnęły słońce jak barana do stańczyków kliki.

Mimo rażących niedostatków, zarząd miasta nie jest jednak bez zasług, jedną z nich, a już dawniejszą jest założenie „bazaru krajowego,“ obecnie przeniesionego do rozległego lokalu w miejscu bardzo dogodnem dla kupujących. Ruch handlowy wzmógł się odrazu, a towary wystawione w obszernych oknach sklepowych są nieustającą wystawą i świadectwem przemysłu krajowego. Obecnie bazar przedstawia się okazale i wierzymy w piękną jego przyszłość skoro wśród tych warunków, jakie posiada, prowadzony będzie równie rzetelnie, jak dotychczas.

Szkoda że całkiem inaczej mówią o profesorze Adamkiewiczu i nie my to mówimy, ale niemcy; zarzucają mu to samo, co i nasi profesorowie, skoro w ich klinikach przeprowadzał doświadczenia, mianowicie brak jakiegokolwiek korzystnego wyniku z leczenia jego *tajemnym* środkiem i najłagodniej się wyrażając, nieścisłość w obserwacyi.

Jego „przypadki“ drukowane miały zupełnie różnić się od tych samych, oglądanych codzień w łóżkach klinicznych. Szkoda, że zresztą wybitny talent i zdolny profesor puścił się na drogę, która niedaleko prowadzi, a za przechodzącym potrzask zamyka. Otrzymawszy długi urlop dla przeprowadzania doświadczeń nad rakiem w klinikach wiedeńskich, skorzysta z niego zapewnie w całej pełni; tu tymczasem pracownia zamknięta, a uczniom patologii ogólnej nikt nie wykłada.

Handlujący fortepianami ogłaszają i zachęcają do kupowania nowości, jak powiadają, nieocenionej. Otóż nie potrzeba znać ani jednej nuty, nie potrzeba uzdolnień, nauczycieli, wydatków i cierpliwości, a potrzeba tylko kupić fortepian i przyrząd niewielki, ten przymocowawszy do klawiatury, należy zaopatrzyć w żądane nuty i kręcić korbą. Najtrudniejsze utwory wychodzą z artyzmem z pod korby.

Rzeczywiście więcej nie potrzeba, ale skoroby do tego przyszło, radziłbym wybudować wielki dom sposobem barakowym za rogatkami miasta i tam przenieść wszystkie fortepiany, dostawki i cudowne korby. My już i teraz dosyć mamy tego piekła fortepianowego, gdzie w każdym domu zaczynają bębnić od rana i bez względu na porę spoczynku, obijają palce do późnej nocy. Gdzieindziej i muzyka domowa ma swoje godziny, my jesteśmy za delikatni na taką ustawę, niech się dzieci bawią!

Dwie nowe komedyjki p. Przybylskiego urozmaiciły polski repertuar, publiczności podobały się niezmiernie; stąd też przedsiębiorca powtarza je dość często. Podoba się również niedawno zaangażowana aktorka p. Trapszówna; ma talent, dobrą szkołę, urodę, a z wdziękiem łączy wiele sprytu, zaliczyć ją należy do niewielkiego grona tych, którzy ozdabiają naszą scenę.

Mor.

Z POZNAŃSKIEGO.

3 stycznia.

Zatrważająca statystyka. — Narodowość nauczycieli i ich uczniów. — Toruń, jego stosunki zdrowotne i potrzeby.

Odkąd prasa nasza, zarzuciwszy frazeologię, zaczęła doniesienia swe opierać na statystyce, wiadomości nasze o społeczeństwie i jego potrzebach uległy zmianie i wystąpiły w prawdziwem świetle. Każdy nowy fakt, chociażby luźnie wyjęty i przypadkowo znaleziony, odkrywa nowe, zupełnie dotychczas obce dla nas tory, po których stąpamy nieświadomie. Jakież jednak straszne są te odkrycia i jak straszne dotychczasowe zaślepienie! Przypadkowo wpadła nam obecnie w ręce statystyka emigracyi, tak dotychczas starannie ukrywana w Berlinie i cóż za przerażający widnokrąg ona roztacza!

Mamy przedewszystkiem na względzie stosunki zaludnienia w W. Ks. Poznańskiem. Liczba ludności podniosła się tu według ostatecznych obliczeń biura statystycznego o 36.024 dusz w ciągu ubiegłego pięciolecia. W tym przyroście ludności bierze płeć żeńska udział z liczbą 21,324, męzka zaś tylko 14,700. Te 36,024 osób stanowi liczbę faktycznego przyrostu ludności w naszej prowincyi, gdy tymczasem przewyżka cyfry urodzeń w stosunku do wypadków śmierci wynosi 155,229 dusz. Różnica między temi dwiema liczbami (119,205) wykazuje ubytek ludności W. Ks. Poznańskiego w ciągu ubiegłego pięciolecia. Ubyły zaś nam nie dzieci lub słabe jednostki, lecz przeciwnie ludzie znajdujący się w najpiękniejszych, najzdrowszych i najsilniejszych latach życia. Ta suma właściwie jeszcze nie daje nam prawdziwego obrazu, bo nie obejmuje obieżysasów (sachsengängerów) i podobnych jednostek, co tylko na ciężki czas przezimowania do rodzinnych chat wracają. Płeć żeńska z natury słabsza i mniej energiczna do większych przedsięwzięć, w emigracyi nie bierze równie licznego udziału, jak męzka. Chociaż przewyżka urodzeń nad wypadkami śmierci u kobiet (76,728) równa się niemal przewyżce u mężczyzn (78,491), to natomiast ubytek z emigracyi, wynoszący ogółem — jak wspomnieliśmy — 119,205 dusz, rozdziela się na 63,791 mężczyzn, a tylko na 55,414 kobiet.

W innych prowincyach, gdzie również wchodzą polacy, w dniu 1 grudnia 1890 r. w porównaniu z ludnością spisaną dnia 1 grudnia 1885 r. przedstawiali:

	przyrost	przewyżka urodzeń	ubytek emigracyjny
Szląsk	112,239	237,671	125.432
Pomorze . . .	15,314	106,615	91,301
Prusy zachodnie .	25,452	123,894	98,442
Prusy wschodnie		139,910	131,722

W prowincyi ostatniej zmiejszyła się ludność o 812 dusz. Część jej przypłynęła do Berlina i rozbiła się po innych prowincyach, reszta poszła szukać szczęścia za morzem.

Pouczające są również wykazy szkolne. Obecnie uczęszcza do szkół poznańskich z opłatą lub bez niej 8,695 uczniów, między którymi jest około 4,500 mówiących w domu tylko po polsku; z ogólnej zaś liczby 184 nauczycieli (razem z rektorami) jest 152 narodowości niemieckiej, a tylko 32 innej. Zasady więc, jakiemi kierowano się przy obsadzaniu posad szkolnych, sprawiły, że na jednego nauczyciela niemca przypada mniej, niż 30 uczniów, nauczyciel zaś innej narodowości ma ich 137. Ten słaby procent pochodzi stąd, że ludność niemiecka nie zajęła należycie posterunków w korporacyach miejskich, rozstrzygających o wyborze nauczycieli.

W Toruniu przez kilka ostatnich tygodni formalnie srożyła się influenza. Dwóch etatowych lekarzy nie mogło podołać nawałowi pracy i trzeba było przyjąć trzeciego. Wypadki śmierci były bardzo częste. Dopiero mróz, który pocisnął w ostatnich czasach i suche powietrze dają nadzieję rychłej poprawy stosunków zdrowotnych. Niestety, Toruń nie należy do miast zalecających się hygieną. Położony nad Wisłą i na pochyłości, z której odpływ wszelkich ścieków jest łatwy, posiada grunt porządnie zakażony przez byłe pokolenia. Dość powiedzieć, że gdy kopano pod fundamenta Dworu Artusowego, napotkano na 22 kloaki odwieczne, ze wszystkiemi pozostałościami. Zdarzały się między niemi doły na 60 stóp głębokie, które trzeba było wielkim kosztem wypróżnić, wyczyścić i wywieźć, zasypać, zbetonować i zamurować. Potrzebna tu gwałtownie dobra nowa kanalizacya, gdyż obecna wcale nie wystarcza, a nadto zdrowa woda. Miasto posiada stare wodociągi, doprowadzające wodę do niektórych studzien z tak zwanej Bochy, dawniej Mokrej, które według tradycyi są podobno pomysłu Mikołaja Kopernika. Od kilku lat czynią się już starania, plany i rachuby do nowych wodociągów, ale cała sprawa rozbija się o brak gotówki, której miasto przytem gwałtownie potrzebuje na poprawę bruków, oświetlenia i budowę szkół. Był także projekt zbudowania tu stałego teatru, lecz dla braku pieniędzy upadł.

Najlepszym dowodem zasady, która tu zaczyna się przyjmować, jak przyjęła się w Galicyi na jej największe utrapienie, że „rząd sprzyja krajowi,“ jest to, że znów wydalono z granic państwa pruskiego dwu ludzi. Wypędzono tak bez litości kowala Mosalewskiego ze wsi Kujawa, zamieszkałego w Prusach od lat 50 i Józefa Sułkowskiego z Hamru, urodzonego w Dąbrówce w Prusach, liczącego lat 48. Pierwszy odjechał do Ameryki, drugi nie wiadomo dokąd.

t. z.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Aleksander Chodźko.

W Juvisy pod Paryżem zmarł d. 24 grudnia człowiek, który był już raczej tylko szanowanym zabytkiem przeszłości, niż działaczem czynnym. Urodził się 1804 r. w Krzywiczach. Wykształcenie uniwersyteckie przeszedł w Wilnie, gdzie zawiązał ścisłe stosunki z przyszłymi koryfeuszami naszej literatury. Następnie w Petersburgu studyował języki wschodnie; tu także wydał swoje *Poezye* (1829), częścią oryginalne, częścią tłomaczone. Niektóre z nich zyskały wielką popularność (np. „Jaś mi pierścionek przyniósł z jarmarku“). W r. 1839 ministeryum wysłało go jako konsula ruskiego do prowincyi perskiej Ghilan. Tu Chodźko rozszerzył znacznie swoją wiedzę i znajomość języków wschodnich. Ogłoszone prace zaleciły go na katedrę profesora języków słowiańskich w Collége de France, którą (od r. 1857) opuścił dopiero przed kilku laty. W naukowej po nim spuściźnie zasługują na uwagę: *Specimen of the popular poetry of Persia* (1842), *Grammaire persanne* (1852), polski przekład powieści perskich p. t. *Padyszach i czterech derwiszów* (1859), *Legendes slaves* (1859). *Grammaire paleoslave* (1869), *Etudes bulgares* (1875), *Théâtre persan* (1878), *Trzy bulgarskie pieśni* (1880) i in.

Gustaw Fritsche.

Po długiem i bolesnem pasowaniu się ze śmiercią zasnął snem wiecznym człowiek, który znalazł dla siebie rolę bardzo pożyteczną i społecznie ważną. Fritsche urodził się w Warszawie r. 1839. Studya uniwersyteckie odbył naprzód w Akademii medyko-chirurgicznej, a następnie w Heidelbergu i Jenie. Praktykę lekarską rozpoczął na prowincyi; wkrótce jednak przeniósł się do Warszawy, gdzie obok posady na kolei Wiedeńskiej prowadził dom zdrowia i redagował tygodnik *Medycynę*, której usiłował nadać charakter pisma, wkraczającego w życie bieżące. Ale najgłówniejszy tytuł rozgłosu i sympatyi zjednał sobie opieką nad koloniami letniemi. Z rzetelną zabiegliwością zdobywał środki materyalne, organizował wyprawy i corocznie wysyłał na wieś podczas lata gromadki dzieci słabowitych a ubogich. Nie był twórcą tego filantropijnego przedsięwzięcia i będzie miał może godnego następcę, trzeba mu jednak przyznać, że włożył w nie dużo serca, energii, umiejętności i wytężonych starań. Jeżeli kolonie letnie rozwinęły się, zawdzięczają jemu przedewszystkiem swoje powodzenie. Wbrew zwyczajnym u nas kolejom rzeczy, Fritsche nie cofał się przed trudnościami i nie zniechęcał; przeciwnie coraz bardziej potęgował swoją działalność w tym kierunku.

Złożyliśmy mu za to na grobie zasłużony wieniec, niechże teraz ktoś podejmie szlachetne zadanie, które on z takiem pożytkiem spełniał.

PAMIĘTNIK.

Influenza.

Chociaż zięć Kocha miał wykryć bakterye tej choroby, wiemy o jej istocie i środkach leczniczych trochę więcej, niż o kanałach Marsa. Jedni twierdzą, że ona była znana od najdawniejszych czasów i trapiła już Hanibala, drudzy utrzymują, że urodziła się niedawno i dopiero teraz w nas dojrzewa. Ci radzą ją pokonywać antipiriną, chininą itd., tamci koniakiem i wogóle alkoholami, inni uważają obie te grupy środków za bezskuteczne, a nawet szkodliwe. Słowem, dotknięty tą słabością najlepiej podobno zrobi, jeśli jak chory pies — przestanie jeść, zwinie się i legnie gdzieś w spokojnem miejscu, oczekując wyzdrowienia. Nie chodzi nam tu wszakże ani o urąganie niemocy lekarskiej, ani o praktykę publicystyczną *à la* Ochorowicz, ale o zastrzeżenie co do samego faktu zarazy. Gdybyśmy wierzyć mieli opinii miejscowej i doniesieniom zagranicznym, cały świat choruje obecnie na influenzę, która przybrała charakter bardzo złośliwej epidemii. Otóż zachodzi pytanie, czy ona nie stała się workiem, do którego wrzucamy najrozmaitsze przypadłości? Łatwo bowiem zauważyć, że to, co dawniej nazwanoby katarem, przeziębieniem itd., dziś nazywa się influenzą i stanowczo nie ma człowieka, któryby utrzymywał, że nie uległ tej chorobie. Gdyby tak w istocie było, jak słyszymy, influenza, która ogarnęła całą Europę od brzega do brzega, przedstawiałaby pod względem rozmiarów największą epidemię, jaką pamiętają dzieje zdrowia ludzkiego. Otóż czy tak rzeczywiście jest? Czy my grubo się nie mylimy? Odpowiedzi na to pytanie nie da nam ani domysł, ani ścisłe sprawdzenie pojedynczych wypadków, lecz możliwe skontrolowanie wszystkich. Jeżeli więc influenza jest epidemią powszechną, należałoby do badania jej ze strony — że tak powiem — rozciągłości zastosować te same zasady, które mierzą wszelkie inne epidemie, a więc: ściśle urzędowe stwierdzanie wszelkich jej wypadków. Tymczasem dla tej choroby nie mamy dokładnych wykazów statystyczno-hygienicznych. Są one zaś potrzebne nie dla zadowolenia zwyczajnej ciekawości, ale dla nauki i zarządzeń praktycznych. Byłoby przecie bardzo ważnem przekonać się, jakie kręgi zakreśla influenza podczas każdorazowego wystąpienia, czy wzrasta w natężeniu i rozmiarach, czy nie rozwija się lub słabnie, jaki zabiera procent śmiertelności itd. Jeżeli to wróg groźny i coraz bardziej niszczący zdrowie ludzkie, to poznajmyż go należycie i nie poprzestajmy na gadaninach o strachu z wielkiemi oczami. Pisma lekarskie nie spełniają tego zadania w całości, gdyż one zajmują się tylko ciekawymi „przypadkami,“ co ma niewątpliwie wartość w poznaniu choroby, ale nie daje wyobrażenia o jej rozszerzaniu się, dla społeczeństwa nader ważnem. *W.*

Aby handel szedł.

Ukończona tedy została „Encyklopedya ilustrowana medycyny i hygieny popularnej“ według dzieła P. Bonami, opracowana przez dr. J. Starkmana. Po wyjściu pierwszych zeszytów tego wydawnictwa wykazaliśmy w niem szereg błędów naukowych, przekonywających, że polski tłomacz nie posiada bardzo wielu dość elementarnych wiadomości i że cała jego robota jest tandetna. To samo usłyszał on ze strony innych pism krytycznych (np. *Wszechświata*). Zarzuty te odparł bardzo prosto: przestał przysyłać nam dalszy ciąg książki, ażebyśmy nie mieli sposobności wytykania mu usterek. Jakoż u nas i gdzieindziej umilkły nagany i odzywał się tylko chór pochwał! Obecnie, gdy „Encyklopedya“ została ukończona, wydawca ogłasza ją z garniturem „wyciągów z recenzyj.“ A więc przytacza zdanie *Tygodnika ilustrowanego*, według którego „dzieło to znaleźć się może bezpiecznie w rękach *każdego* czytelnika i czytelniczki,“ a „ukazanie się jego powitać się godzi ze *szczerem zadowoleniem* i popierać *bardzo gorąco*.“ Plakat, wycięty z *Przeglądu kat.* zapewnia, że dzieło to „przyczynić się może wiele do rozszerzenia wiadomości hygienicznych“; *Gazetę warszawską* „przejrzenie pierwszego zeszytu *utwierdza* w pochlebnem dla tego dzieła mniemaniu.“ Zdaniem *Kuryera codziennego* książka ta „z *prawdziwym* pożytkiem znaleźć się może w każdym domu i *rzeczywiście* na rozpowszechnienie zasługuje.“ Podobną pieśń odśpiewały pisma prowincyonalne. I pomyślmy teraz, że wszystkie to pochwały są lekkomyślną blagą lub przyjacielską reklamą, że robota p. Starkmana roi się błędami, nie może więc być ani pożyteczna, ani wszystkim zalecana. Wprawdzie krytycy, którzy radziby ją wprowadzić do „każdego domu,“ są nieprzeczytalni, bo albo nie znają się na rzeczy, albo wychwalanej książki wcale nie badali, ale czy godzi się nawet bezwiednie wpychać społeczeństwu kosztowną tandetę, któremu ślubowało się służbę wierną i uczciwą? Czy godzi się ocenę wydawnictwa specyalnego powierzać reporterom lub dziennikarzom, którzy mogą być sędziami przysięgłymi w kwestyach beletrystycznych, ale nie posiadają sprawdzianu w chemii lub fizyologii? I my pragniemy, ażeby literatura naukowa przenikała we wszystkie warstwy społeczne, ale przy tem życzeniu chodzi nam o coś więcej jeszcze, niż o to, aby handel szedł. *W.*

Medycyna śród ludu.

Sprawa opieki lekarskiej nad zdrowiem ludu zaczęła znowu spacerować po kolu-

mnach pism peryodycznych. Jak już nieraz projektowano, jedni radzą lekarzom osiedlać się po wsiach, drudzy — zalecają im wozić z sobą apteczki lub każą dworom pdnosić ciężar kosztów, inni chcieliby zmusić gminy do stałych opłat. W tym gwarze powtarza się najczęściej utyskiwanie na nieufność ludu do lekarzów i jego wiarę do felczerów i znachorów. Jest to fakt niewątpliwy i smutny, ale czy chłop z tego powodu nie za wiele dostaje od nas chłosty? Dziwi nas a czasem oburza, że ciemny, nigdzie niekształcony Bartek jak nietoperz zamyka oczy przed światłem i chowa się do piwnicy; czy jednakże my „inteligentni,“ tresowani w szkołach, wychowani śród promieni i wpływów nauki, nie czynimy tego samego w mnóstwie wypadków? Jeśli nas zaboli wątroba lub noga, wzywamy lekarza (czasem również znachora), ale jeśli nas zaboli dusza, czyż nie udajemy się po radę do felczerów wiedzy, do bab i owczarzów, zamawiających podobne cierpienia? Ilu z nas zwraca się po naukę do badaczów, ilu jej szuka w dziełach gruntownych? Gdy Bartkowi damy książkę, on ją przeczyta i uwierzy jej bez względu na to, kto ją napisał. My zaś musimy zbadać, czy autor nie jest „masonem,“ czy posiada patent prawomyślności — dopiero wtedy go słuchamy.

Przechodząc do samej sprawy lecznictwa ludowego, wyznajemy, że gwałtem żeniony z nią sentymentalizm filantropijny uprawiać będzie tylko, jak płodził dotąd, pomysły słabowite i szybko wymierające. Wspaniałomyślność dworu lub plebanii z ich dyletanctwem medycznem i apteczkami lub też ofiarnością pieniężną zdobędzie się najwyżej na pomoc doraźną, działającą w ograniczonym zakresie i niezem nieutrwaloną. W szerszej mierze, z pożądanymi skutkami i doniosłością na przyszłość kwestya ta może być rozstrzygnięta jedynie na gruncie wzajemnych korzyści lekarzów i ludu. Gdy zaczną wytwarzać się takie stosunki, w których jedna strona będzie wynagrodzona za swe usługi, a druga odniesie z nich pożytek w zdrowiu, wtedy rozwinie się opieka i praktyka medyczna po wsiach. Ponieważ zaś przykład ma tu wielką wagę, zatem ci, którym ta sprawa leży na sercu, powinni nakłaniać gminy do zawierania z lekarzami stałych umów i nawzajem pobudzać lekarzów do torowania drogi takim stosunkom. *O.*

Przebudzenie braci śpiących.

Pomysł p. Blocha, żeby Towarzystwo kredytowe ziemskie założyło u siebie biuro statystyczne w gruncie rzeczy nie jest niczem genialnem, lecz najprostszem wysnuciem wniosku z dawno już dojrzałych potrzeb samej instytucyi. Towarzystwo, ogarniające sobą około 9.000 dóbr stowarzyszonych, z konieczności nagromadza bogaty materyał do statystyki rolnictwa krajowego. Oddawna też podobno pokutowała w niem myśl opracowania i zużytkowania tego materyału. Czyniono nawet próby pod tym względem. W r. 1880 wyszedł ułożony przez dyrekcyę główną *Zbiór wiadomości statystycznych.* Miał on jednak układ zastosowany do buchhalteryjnych celów dyrekcyi i nie był przydatny dla celów ogólniejszych. W następnem wydawnictwie zamierzano przyjąć inny odpowiedniejszy układ i uzupełnić je. Ale chwalebny zamiar został tylko zamiarem. Przyszedł nawał zajęć, wynikających z kodyfikacyi, wydawania pożyczek zwiększonych na mocy przepisów tymczasowych z r. 1884, z opracowania nowych instrukcyj i nowej (z r. 1888) ustawy—i prace statystyczne opóźniły się, rozumna myśl zasnęła, bracia ziemiańscy zdrzemnęli się. Zbudzili się dopiero pod silnym szturmem p. Blocha, przetarli oczy i zamierzyli powołać do życia delegacyę złożoną z radców komitetu, pp.: dr. Tadeusza Kowalskiego, Włodzimierza Biesiekierskiego i radcy dyrekcyi głównej, p. Feliksa Zakrzewskiego, którzy mają „opracować plan roboty i wygotować odpowiednie wskazówki“. Kontroli nad tą czynnością i „powolnym pośpiechem“ podjął się p. Janusz Rostworowski, radca dyrekcyi szczegółowej siedleckiej. O zorganizowaniu specyalnego biura statystycznego, zdaniem *Kur. Warsz.*, podobno nie było dotąd mowy.

Byłoby to jednak smutnym dowodem egoizmu czy niedołęztwa, gdyby takiej doniosłości sprawa znowu uległa zwłoce. Wszak archiwa Towarzystwa są bogatą kopalurą cyfr i wiadomości, które, wydobyte z pod korca ręką statystyka i publicysty, mogłyby rzucić pożądane światło na niejedną ciemną stronę naszych stosunków rolnych. Badacz położenia czeladzi dworskiej zaczerpnąłby z tego źródła niejedną wskazówkę cenną. W ogóle statystyka Towarzystwa, byle sumiennie prowadzona przez specyalny organ, mogłaby w znacznym stopniu potęgować samowiedzę ogółu. Jeżeli więc braci śpiących zbudził już głos p. Blocha, to niechże raz wezmą się do pracy.

P.

Nowe pismo.

Ukazał się numer pierwszy *Tygodnika kolejowego i ekonomicznago.* Redakcya w sposób następujący spowiada się ze swoich zamiarów: „Zorganizowanie świadomego i celowego działania w sprawach ekonomicznych, dbałość o rozwój sił produkcyjnych kraju jest głównym punktem naszego programu. Podawanie do wiadomości ogółu bieżących spraw ustawodawczych, omawianie spraw kolejowych i przemysłowych, na porządku dziennym będących — oto zadanie, które *Tygodnik* spełniać zamierza... Prócz tego dotkliwie daje się uczuwać brak organu, którego zadaniem byłoby wyjaśnianie i szybkie podawanie do użytku osób zainteresowanych taryf kolejowych, mających w chwili obecnej tak doniosłe znaczenie dla naszych stosunków rolnych i ekonomicznych.“

A zatem będzie to organ świata przedsiębiorców. Artykuł wstępny, napisany przez oddanego mameluka naszego wielkiego kapitału, p. W. Wścieklicę, właśnie poświęcony jest najżywotniejszej sprawie dla przemysłowców — zdobycia rynków w Cesarstwie. Reszta numeru również usiłuje zadość uczynić podjętym obowiązkom latarni — czy w sposób należyty, o tem orzec mogą jedynie warstwy bezpośrednio zainteresowane, a znające się na rzeczy. Natomiast chcielibyśmy powstrzymać jedną ptaszynę od śpiewu fałszywego. Między innemi w nr. 1 *Tygodnika* znajdujemy artykuł, poświęcony sprawie kredytu ludowego. Bynajmniej nie myślimy radzić łaknącym tego kredytu, a zatem drobnym właścicielom wiejskim i miejskim oraz rzemieślnikom-majsterkom, ażeby występowali przeciwko tej instytucyi. Może ona im oddać, przy należytem urządzeniu, pewną, niekiedy pokaźną pomoc. I nie ganilibyśmy autorowi artykułu, gdyby rozpatrzył rozmiary tego kredytu u nas, powody jego powolnego rozwoju i nadużycia ze strony prowodyrów. Ludzie mają swoje potrzeby i interesy, więc szukają dróg odpowiednich. Ale autor w sprawie kredytu ludowego posuwa się dalej. Należy on do tych wyznawców Islamu, którzy chcą zmusić wszystkich do przysięgania jedynie na brodę swego proroka. Przeciwstawia on swój kredycik tak potężnym a jednocześnie zgoła mu obcym rzeczom, jak prawodawstwo fabryczne lub państwowe ubezpieczenie robotników! „Jednym z najważniejszych czynników polepszenia bytu mas ludowych jest kredyt ludowy, a sprawie tej przypisują (kto? gdzie? kiedy?) obecnie donioślejsze znaczenie, aniżeli ubezpieczeniom robotniczym, nowym prawom fabrycznym itd.“ W metodach Olendorfa spotykamy taką rozmowę: „Czy jadłoś już chleb? Nie, ale siostra moja wyszła na spacer.“ Coś podobnego mamy i tutaj. Kredyt ludowy jest sprawą włościańsko - rzemieślniczą i kramikarską; prawodawstwo zaś fabryczne jest dla tych warstw rzeczą obojętną, co więcej, ponieważ z kredytu „ludowego“ korzystają głównie wybijający się majstrzy, owo prawodawstwo bywa dla nich niekiedy wstrętne, bo ogranicza ich „swobodę“ względem uczniów i czeladników; przeciwnie, żaden służący przy kolei i wogóle robotnik nie dba o kredyty ludowe, bo nie jest nawet najdrobniejszym przedsiębiorcą, a opieka państwowa jest dlań w najwyższym stopniu użyteczna. Kredyt ludowy przeciwstawiają we Francyi i Niemczech prawodawstwu fabrycznemu tylko ci, którzy chcą w mętnej wodzie łowić ryby. Uczyniwszy tę uwagę oraz zaznaczywszy nader różowy optymizm autora względem kredytu, wraz z nim winniśmy podnieść pewne nadużycia, których widownią stał się u nas kredyt ludowy. Wbrew ustawom, które pozwalają akcyonaryuszom brać udział w zebraniach, kasa przemysłowców warszawskich np. wytworzyła jakąś dyktaturę, samowolnie rozporządzającą się kapitałami zbiorowymi. Zdaje się, zapanował w niej wielki kapitał i krzywdzi mniejsze. Zresztą i tu winniśmy zaznaczyć, iż takim jest wszędzie los kredytów ludowych, tylko że postępowanie bywa gdzieindziej dyplomatyczniejsze i nie tak gburowato otwarte, chociaż skutki te same. *Ż.*

Co to?

Z niemałem zdziwieniem wyczytaliśmy w telegramach *Kuryerów* z Wiednia, że „p. Narkiewicz Jodko demonstrował swoje wynalazki w *pracowni malarza* Ajdukiewicza“ i że one wprawiły w zachwyt widzów. O ile z jednej strony z krótkich doniesień nie mogliśmy domyśleć się, co to były za cuda, które miały stanowić epokę w nauce, o tyle z drugiej nie mogliśmy pojąć, dlaczego ich sprawca okazywał je w „pracowni malarza.“ W późniejszych wiadomościach objaśniono nas, że p. N. J. rozwinął dalej badania Maxwella i Hertza, zwłaszcza w kierunku elektryczności. Nareszcie szanowny uczony przyjeżdża do Warszawy i... „demonstruje swoje wynalazki w redakcyi *Kuryera warszawskiego.*“ Znowu pytamy zdumieni, co to znaczy? Stanowczo bowiem Ben Akiba przyznałby, że czegoś podobnego świat jeszcze nie oglądał. Słyszeliśmy już o popisach muzyków, deklamatorów, magików i t. d. w *ateliers* malarskich lub w redakcyach dzienników; ażeby wszakże taką arenę do występów wybrali sobie badacze, którzy porobili nowe i wielkie odkrycia w dziedzinie fizyki — nie słyszeliśmy. Wobec tego nie wiemy, co sądzić o epokowych wynalazkach p. J. N.: czy je uważać za istotne zdobycze wiedzy, czy też za jakieś koncepty samorodnej filozofii. Jeżeli jakaś praca naukowa przychodzi do nas przez akademię lub prasę specyalną, wogóle drogą, na której ją poznać i ocenić możemy, wiemy, co ona nam przynosi. Ale tu dowiadujemy się tylko tyle, ile nam p. Połkotycki w *Kuryerze warsz.* o „seansie“ fizyko-elektrograficznym doniósł, czyli — prawie nic. Właściwie nic. Jeden bowiem ze świadków tego „seansu“ opowiada nam rzeczy godne zapisania. Przedewszystkiem wyznaje, że nic podobnego w życiu swojem nie widział. Zebrało się grono ciekawych, a środ nich stanął p. J. N. Zakomunikował on im parę szczegółów biograficznych, zapewnił, że go chcą przywłaszczyć sobie inne społeczeństwa, ale on do nas należy i t. d. Następnie rozpoczęły się „demonstracye,“ których szanowny badacz (np. fotografii iskry elektrycznej) wcale objaśnić nie umiał, oraz wykład, który był jakąś plątaniną nici rozpoczętych i nagle urywanych. Wreszcie p. J. N. poprosił, ażeby obecni wpisali mu się w album, co też zwłaszcza reporterzy chętnie uczynili, wystawiwszy mu przytem dyplom niespożytej chwały. Wogóle, według naszego sprawozdawczy, była to scena wysoce humorystyczna, która świadczyła o zupełnym braku wiedzy i zmysłu kryty-

cznego śród świadków tego widowiska. I to miał być „dalszy ciąg badań Maxwella i Hertza"! Rzeczywiście trudno nie pisać satyry. *K.*

Kasa pożyczkowa w Opocznie.

Obywatele miasta Opoczna postanowili założyć kasę pożyczkową przy magistracie miejscowym. Według opracowanej już ustawy zarząd tej instutucyi ma się składać z pięciu osób: burmistrza (przewodniczącego), kasyera, ławnika honorowego i dwóch członków, wybieranych z grona obywateli miejskich co trzy lata. Do komisyi rewizyjnej należyć będzie trzech właścicieli domów, wybieranych corocznie. Księgi zaprowadzone podług wzorów kas pożyczkowych dla ludności wiejskiej w Królestwie Polskiem. Kapitał zakładowy w sumie 1000 rs., zaczerpnie się z funduszów miejskich. Najwyższa pożyczka, zabezpieczona na nieruchomości, wyniesie 200 rs.; udzielona zaś bezrolnemu rzemieślnikowi, nie może przewyższać 50 rs. Termin do spłacenia długu ratami lub w całości—roczny. Zarząd może jednak udzielić przedłużenie półroczne. Ogólny nadzór nad kasą i jej działalnością należy do naczelnika powiatu i rządu gubernialnego.

Kasa kolei Nadwiślańskiej.

Niedawno pisaliśmy o niepewnej przyszłości urzędników kolei Terespolskiej; obecnie w podobny sposób zachwiane są podstawy bytu pracowników drogi Nadwiślańskiej. Pierwotnie rozeszła się pogłoska o projekcie zlikwidowania funduszów kas emerytalnych na kolejach prywatnych dla zlania ich z ogólno-państwowemi. Następnie opracowano inne, mające bardziej odpowiadać potrzebom miejscowym i popierane przez ogół uczestników. Miały one z początkiem roku bieżącego wejść już w wykonanie. Tymczasem nagle zapowiedziano nowe projekty. Ośmiu delegatów z grona uczestników powołano do sformułowania zarzutów i wskazania zasad rachunkowych, na jakich chcą mieć oparte swe prawa. Zmiana ta zapowiada nie procent od wniesionych przez każdego uczestnika składek z zatratą jego kapitału, lecz plan wypracowany na zasadach kas przezorności. Czy i ten projekt nie ustąpi miejsca nowemu, niedaleka przyszłość pokaże. Tymczasem setki pracowników czekają z niepokojem wyroku stanowczego i przyglądają się smutnie tej igraszce z ich losem i funduszem, wynoszącym około 1,200,000 rs.

Biuro służących.

Oddział kontroli służących w Warszawie rozszerzył znacznie swoją działalność w roku ubiegłym, skutkiem otwarcia kantoru informacyjnego dla stręczenia sług i stróżów. Etat urzędników i oficyalistów tego biura, ustanowiony w r. 1863, pozostał dotąd bez zmiany, pomimo iż ludność potroiła się. Z tego powodu, jak donosi *Warsz. Dniewn.*, urzędnicy są przeciążeni pracą i nie mogą spełniać należycie swego zadania. Lepsze uposażenie ich jest konieczne, tembardziej, że czynności biura powiększy „drażliwa robota charakteru obyczajowego", wybór najlepszych służących dla przedstawienia do nagród pieniężnych. „Urzędnicy biura nie mogą więc cierpieć niedostatku, ażeby nie brała ich pokusa wchodzić w tranzakcye z własnem sumieniem". W obec tego p. oberpolicmajster m. Warszawy zwrócił się do komitetu budżetowego o udzielenie na utrzymanie biura w r. b. sumy o 2,147 rs. większej, niż poprzednio, tudzież o zasiłek na następujące pozycye: rs. 3,000 na wydawanie nagród stróżom; $^{1}/_{8}$ czystego remanentu (około 2,200 rs.) na nagrody dla organów policyi wykonawczej i takąż sumę na wynagrodzenie sług.

Towarzystwo lekarskie.

Odbyły się w tej instytucyi doroczne wybory: na godność prezesa powołano ponownie dr. Przewoskiego, na wiceprezesa dr. S. Markiewicza, sekretarzem został dr. Szteyner. Jednocześnie dokonano głosowania na nowych członków z wynikiem bardzo charakterystycznym: z 13 chrześcian przyjęci zostali wszyscy, z 6 żydów — tylko dwaj. Czterech uraczono czarnemi gałkami, chociaż przedstawieni byli przez tak odpowiedzialnych członków, jak: Sokołowski, Bujwid, Heryng i inni. W tym niedwuznacznym rezultacie głosowania Towarzystwo chciało wyrazić i wyraziło swój kierunek i nastrój obecny.

Domy dla robotników.

Jakiś przedsiębiorca chce bodaj w drobnych rozmiarach naśladować zagranicę: zamierza budować na Pelcowiźnie domki dla rodzin robotniczych i rzemieśniczych na wypłatę. Początkowo wzniesie tylko dwa. Stosownie do umowy każdy z nabywców przy opłacie 300 rs. rocznie po latach dziesięciu staje się właścicielem nieruchomości w cenie 2,000 rs. Będzie to więc pierwszy krok nowej gałęzi przedsiębiorstwa, które za granicą działa przy pomocy spółek potężnych, zasobnych w fundusze milionowe, stwarza tysiące drobnych właścicieli domków, uzależnia ich od pracodawców, pozwala zadłużać się i następnie dopomaga do wydziedziczania. Zobaczymy, czy szybko tą utartą koleją na Zachodzie potoczy się przedsiębiorstwo powstające na naszym gruncie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PROTEKCYONIZM BEZ PROTEKCYONIZMU.

W *Revue economique* ukazał się artykuł prof. Gide'a, zatytułowany nader efektownie: protekcya kez protekcyonizmu. Należy dodać, że zwrócił on uwagę na siebie w dość szerokich kołach, a mowa w nim o zniesieniu ceł dzisiejszych i zastąpieniu ich czemś innem.

Cła obecne, zdaniem tego ekonomisty, bynajmniej nie odpowiadają włożonemu na nie zadaniu: zachęcania przemysłu krajowego. Zostały zastosowane do tego celu dopiero ostatnimi czasy, początkowo zaś powstały z najzupełniej odmiennego powodu. Rozbój panów feodalnych, dokonywany na karawanach kupieckich — oto ich rodowód. Później rozbój ten zastąpiono pobieraniem oznaczonego myta. Opłata owa stała się wtedy jednem ze źródeł dochodu fiskalnego. Wreszcie, w braku czegoś lepszego, użyto tego środka, jako przedmurza przeciwko konkurencyi obcokrajowej. Lecz system celny, zastosowany do tego rodzaju widoków, okazał się nieodpowiednim. Epoka nowoczesna winna postarać się o jakieś narzędzie stosowniejsze. Gide właśnie usiłuje dokonać takiego wynalazku. Wskazuje on, że istnieją w dzisiejszem już społeczeństwie różne sposoby przychodzenia z pomocą przemysłowi, które nic nie mają wspólnego z systemem ceł ochronnych, mianowicie zwolnienie pewnych przedsiębiorstw od podatków, gwarancye dochodów w pewnej wysokości, premie itd. Otóż według Gide'a, należyta kombinacya tych sposobów zdołałaby w zupełności zastąpić dotychczasowe cła. Zwłaszcza wielkie pokłada on nadzieje w premiach i powołuje się w tym razie na przykład dany świeżo przez rząd francuski w sprawie krajowego jedwabnictwa. Uprawa morwy z hodowlą jedwabnika rozwinęła się bardzo bujnie w niektórych okolicach Francyi i jest a raczej była jednem z ważnych źródeł utrzymania dla wielu drobnych posiadaczy. Lecz spotkało ją to samo nieszczęście, które nawiedziło w postaci filoksery winnice francuskie. Do tego dodać należy konkurencyę ze strony producentów azyatyckich. Kilogram kokonów, który w r. 1860 płacono na rynku po 6 franków, w 1873 spadł do 4, później zaś do 3 franków. Hodowcy jedwabników wystąpili z żądaniem zaprowadzenia ceł ochronnych, lecz wielcy przemysłowcy lugduńscy stanowczo oparli się temu, dowodząc, że za najlepszych czasów jedwab krajowy pokrywał zaledwie piątą część zapotrzebowania surowca z ich strony i że w imię tej jednej piątej części byłoby niesprawiedliwością zmuszać ich do płacenia nadwyżki także za pozostałe cztery piąte. Oportunistyczny rząd francuski znalazł się pomiędzy dwoma ogniami i wybrał drogę taką, aby zaspokoić żądania jednych i drugich. Nie zaprowadził ceł ochronnych, lecz postanowił, że kasa państwowa będzie wypłacała hodowcom jedwabników po pół franka za każdy kilogram kokonów, całego — za kilogram nici, premie zaś te będą wzrastały, jeżeli produkt będzie odpowiadał pewnym warunkom. Otóż wymarzona przez Gide'a „protekcya bez protekcyonizmu" jest niczem innem, jak zastosowaniem na wielką skalę tego środka i zastąpienia nim dzisiejszych ceł ochronnych.

Czy nie wszystko jedno — pyta on — w jaki sposób krajowi wypadnie uiszczać daninę celną? Dzisiaj opłaca on ją przywożąc obcokrajowe towary, a nadto podwyższoną ceną wytworów swojskich. Po dokonanej reformie, opłacałby to w postaci podatków, państwo zaś z tego funduszu wyznaczałoby premia. Według niego, korzyści stąd płynące byłyby bardzo znaczne. Dzisiejsze cła są przedewszystkiem ochroną rutyny. Zaprowadzenie ich zagradza wejście do kraju towarom, wytwarzanym przy pomocy postępowszych środków technicznych, a natomiast krajowym przedsiębiorcom pozwala trzymać się przestarzałych metod produkcyi.

Spostrzeżono już, że technika wytwórcza obniża się wraz z podwyżką ceł. Tymczasem „protekcya bez protekcyonizmu" usuwa to wszystko. Zostawia ona współzawodników, którzy zmuszają krajowych przedsiębiorców do bacznego uwzględniania postępów techniki; zresztą i same premie winny być w ten sposób zorganizowane, aby przypadły przemysłowcom postępowym. Nie dość tego. Cła dzisiejsze nie zawsze pomagają temu, kto najbardziej potrzebuje opieki. W walce np. z zamorską konkurencyą zbożową najwięcej ponoszą strat majątki gorszej urodzajności. Tymczasem przy dzisiejszym systemie celnym, im właściciel posiada ziemię urodzajniejszą, tem większe ciągnie korzyści z ochrony celnej. System premij zmieniłby to położenie do gruntu. Autor obiecuje jeszcze inne korzyści. Cła ochronne, raz wprowadzone, wykazują dążność do utrwalenia się. Tymczasem kwestya funduszów premiowych wypływałaby na jaw przy każdem układaniu budżetu.

Streściliśmy przedmiotowo wywody francuskiego ekonomisty. Uderza w nich przedewszystkiem jakaś sielankowość. Autor stawia pomoc premiową przedsiębiorcom na równi z pomocą oświacie, zaprowadzeniem dróg itd. Słowem, popieranie przemysłu, jak wiemy, coraz bardziej kapitalistycznego, uważa on za rzecz dobra ogólnego. Rozumie się, przedsiębiorcy bardzo chętnie patrzyliby na to, gdyby podobny pogląd upowszechnił się. Tymczasem tak nie jest. Wyobraźmy sobie np., że w Niemczech obywatele ziemscy, zamiast pobierania haraczu od ludności miejskiej pod postacią zwiększonych cen zboża dzięki cłom, otrzymują go wprost z kasy państwowej jako premie. Co by na to powiedziano? Cła ukrywają istotny stan rzeczy, nazywają rzeczy zupełnie innem imieniem i co więcej, haracz ów maskują przy pomocy żywiołowych i niby przyrodzonych potęg rynku, określających cenę produktu. Krytyka społeczna musi silić się na wyjaśnienie istotnego położenia rzeczy. Wyprowadziłaby rzeczy na czystą wodę i bez krytyki otworzyłaby oczy spożywcom. Porównanie wtedy hara-

czu zbożowego w Niemczech z daninami feodalno-pańszczyznianemi nasunęłoby się odrazu. Dla ideologów-profesorów owa protekcya bez protekcyonizmu może wyglądać uroczo, praktyczny umysł przedsiębiorców zobaczy w tem zamach na swoje prawa i weźmie gorliwego rzecznika swoich interesów raczej za zakapturzonego wroga. Dodajmy, że żadne państwo nie wyrzeknie się tak obfitego źródła, jak cła i nie zastąpi go corocznie uchwalanym budżetem premiowym.

K. L.

PRZEMYSŁ I HANDEL.

Współka z „Maćkiem.“ Pp. Ludomir Cywinski, Jan Kleniewski i Górski (właściciel Nałęczowa) rozpoczynają budowę nowej cukrowni udziałowej we wsi Piotrowin nad Wisłą. Kapitał obrotowy wynosić ma 180.000 rs. Nowy zakład wytwarzać będzie tylko mączkę. Przedsiębiorcy zamierzają podczas kampanii przerabiać najmniej 100,000 korcy buraków. Sam p. Kleniewski zobowiązał się dostarczyć 50,000 korcy. Godną uwagi cechą tego przedsiębiorstwa jest to, że do nabywania udziałów w niem dopuszczeni być mają także i włościanie okoliczni. Jeżeli ta wspólka dojdzie do skutku, to dorobkiewicze i lichwiarze wioskowi będą mieli sposobność skosztowania renty z innej — wielkoprzemysłowej beczki. Możnaby wszakże spytać, ilu znajdzie się na to ochotników? Chyba niewielu, jeżeli „robigrosze okoliczni“ lepiej znają smak lichwy, dobrze wypróbowanej na zagonie chłopa małorolnego, niżeli dywidendy, o której zaletach nie mogli jeszcze się przekonać. Trudno o tem uczestnictwie mówić inaczej, niż żartobliwie, gdyż nie stało się ono faktem, ale to pewna, że prędzej „gründerom“ piotrowińskim, przy odpowiedniej zręczności, uda się z Maćka zrobić akcyonaryusza podrzędnego, niż poczciwym marzycielom stworzyć nawskroś chłopskie cukrownie gminne, według zwodniczego wzoru czechów. *z. a.*

Zmowa kupców. W Charkowie, jak donoszą pisma ruskie, handlarze zboża urządzili zmowę w celu podniesienia jego cen. Głównym sprawcą był jeden z milionerów południowo-ruskich. Przewidując znaczny upadek cen po wstrzymaniu wywozu pszenicy, porozumiał się z większymi handlarzami w wielu miejscowościach państwa i po otrzymaniu przychylnej odpowiedzi zaproponował znaczniejszym spekulantom na południu, aby nie zniżali cen, nawet po zakazie wywozu. Rolnicy, posiadający pewne zapasy, zaczęli je sprzedawać, a ceny jednocześnie spadać; na rynkach ukazało się zboże wyłącznie rolników miejscowych, handlarze zaś trzymali nagromadzone zapasy pod kluczem. Wkrótce jednak po wyczerpaniu szczupłej ilości ziarna, dostarczonego przez ziemian, ceny znowu zaczęły się podnosić. Operacyom spekulantów sprzyjała ta okoliczność, iż rolnicy chętnie im wyprzedali prawie całkowite zbiory zeszłoroczne, przyciśnięci potrzebą wnoszenia podatków i rat bankowych. Handlarze, jak twierdzi miejscowa prasa ruska, pragnąc wszelkiemi siłami zebrać miliony, nie przebierali w środkach, aby ceny zboża ciągle się podnosiły, a na wiosnę doszły do bajecznej wysokości.

Stan zasiewów. *Prawit. Wiest.* pomieszcza wiadomość o stanie zasiewów ozimych w początku listopada r. z., ułożone na podstawie 2,000 korespondencyj. W gub. południowych stepowych, południowo-zachodnich i środkowych czarnoziemnych, tudzież na południu gub. samarskiej i saratowskiej stan ozimin był niezadawalający: powschodziły wcześnie, następnie jednak ucierpiały wskutek suszy; późniejsze zaś częścią nie zdołały się rozkrzewić przed nastaniem zimy, częścią nie powschodziły zupełnie, nadto pewna część pól ozimych pozostała nieobsiana. Na całym tym rozległym obszarze warunki atmosferyczne w jesieni były równie niepomyślne dla ozimin, jak w r. 1890, a to przeważnie wskutek długiej suszy, która trwała niemal do samej zimy. Mierne lub niezupełnie zadawalające były oziminy w gub. kowieńskiej, wileńskiej, mińskiej, tudzież w niektórych powiatach gubernij permskiej i wiackiej. Na pozostałym obszarze Rosyi europejskiej wraz z Królestwem Polskiem i krajem przedkaukazkim stan ozimin w początku listopada był przeważnie zadawalający, a dobry w gub. tulskiej, razańskiej, kazańskiej, tambowskiej, symbirskiej, penzeńskiej, orłowskiej, w całym t. zw. okręgu przemysłowym, w prowincyach nadbałtyckich, w gub. petersburskiej, pskowskiej, nowogrodzkiej, niższonowogrodzkiej, kostromskiej. Niezwykle pięknie przedstawiały się oziminy w niektórych guberniach, dotkniętych r. z. nieurodzajem. Porównania ozimin z jesieni r. z. ze stanem ich w tym samym czasie r. 1890 wykazuje, że obecnie obszar niezadawalającego stanu zasiewów obejmuje połowę sfery czarnoziemnej, gdy w r. 1890 obejmował $^3/_4$. Ubiegłej jesieni w 6 guberniach czarnoziemnych oziminy przedstawiały się nawet bardzo dobrze. Z Królestwa Polskiego departament rolnictwa otrzymał 49 sprawozdań, w tej liczbie 10 z gub. warszawskiej, 9 z siedleckiej, 10 z lubelskiej, 5 z suwalskiej, 3 z piotrkowskiej, 2 z kaliskiej, 4 z kieleckiej, 3 z radomskiej, 2 z płockiej, 1 z łomżyńskiej. Sprawozdania te opiewają, że stan ozimin w początku listopada był u nas wogóle zadawalający. Szczególnie oziminy wczesne były przeważnie dobre, późne zaś wskutek suszy liche, a miejscami zupełnie złe. Rzepak w gub. radomskiej dobry. Owady nie wyrządziły znaczniejszych szkód; tylko myszy rozpłodziły się ogromnie wskutek suszy i miejscami wyrządziły szkody. Zasiewy ozime opóźniły się prawie wszędzie.

Z rynku.

Zafałszowania. Sprawa zakupu mąki przez municypalność Petersburga zwróciła już uwagę władz miejscowych. Z rozporządzenia naczelnika miasta składy opieczętowano do czasu przybycia komisyi rządowej. Idzie tu o zbadanie szkodliwych dla spożywców zafałszowań kupieckich, których kierownicy wymiany dopuszczają się bezkarnie. Oto co w tej mierze *Kuryer warszawski* podaje według gazety *Petersb. Wiedomosti*:

„We środę składy nr. 15 i 24 zostały otworzone w obecności pomocnika naczelnika miasta, p. Turemninowa, prokuratora sądu okręgowego N. Czaplina, towarzysza prokuratora i członków komisyi rządowej. Pośrednik w nabyciu mąki, p. Puchert, wezwany telegraficznie z Libawy, również się stawił. Worki, ułożone aż do sufitu składu, są najrozmaiciej upakowane. Kilka worków opieczętowano. Mąka przywieziona jest ze stacyj: Wilejka, Poniewież, Szawle, Wilno, Kowno, Libawa i Jewle. Próby mąki oddane zostały do zbadania komisyi miejskiej. Policya strzeże składów. Wczoraj przybyło jeszcze 8 wagonów ze stacyi Ignalina. Po obejrzeniu nawet powierzchownem worków z mąką transport zaaresztowano. Próby mąki zbadane zostały tymczasowo w laboratoryum prof. Pehla. Według orzeczenia eksperta, otrzymane rezultaty mogą służyć za dowód, iż materye białkowe mąki uległy tym zmianom, które dają się spostrzegać przy gniciu tego produktu. Po zmieszaniu mąki z chloroformem, według metody Rakowicza, otrzymano osad, składający się przeważnie z piasku; 10 gramów mąki dało 0,74 gr., tj. 7,4% piasku! Pod mikroskopem wykryto w mące znaczną ilość otrębów, piasku i krochmalonych ziaren kąkolu.“ Niezależnie od strat, jakie mogły ponieść żołądki spożywców, karmiących się chlebem z tak szkodliwego falsyfikatu, olbrzymie też są straty, na które wystawiła się municypalność petersburska, nabywając mąkę zafałszowaną 7% przeszło piasku. „Jeżeli wszystka mąka jest taka sama — wnioskuje *Nowoje Wremia* — to okazuje się, że zarząd miejski nabył przeszło 20,000 pudów piasku za cenę 1 rs. 55 k., a nawet 1 rs. 62 kop. za pud.“ O zakupie podobnym oddawna pono wiadomem było w niektórych kołach kupieckich na kolejach południowo-zachodnich. Nie śmiano tylko mówić o tem głośno. Teraz, w świetle analizy chemicznej i mikroskopu wyjaśnia się fakt, dlaczego w ostatnich czasach tak bardzo podskoczyły ceny kąkolu i soczewicy, za które płacono w Libawie po 60 k. za pud. Szkoda, że w produkcyi piasku dotychczas wyręcza jeszcze człowieka natura i że ten „wytwór“ nie ma miejsca w liście towarów, podlegających notowaniu giełdowemu. Inaczej wiadomem byłoby coś, w jakim stopniu popyt na piasek wpłynął na jego cenę...

Wobec doświadczonej zaraźliwości przykładu, zachodzi obawa, czy nadużycia tego rodzaju nie są uprawiane na szerszą skalę. Jeżeli ich kto więcej jeszcze się dopuścił lub dopuszcza, może być okiełznany, gdyż zarządzający oddziałem ziemskim w ministeryum rozpoczął już rewizyę zapasów żywności ziemstw w powiatach dotkniętych nieurodzajem.

Ceny bieżące: W Łodzi przy średnim popycie płacono 29 grudnia z. r. za korzec pszenicy rs. 8,50, żyta rs. 8, jęczmienia rs. 6, owsa rs. 3,30, grochu 9,50, kartofli — 3 za pud. W porównaniu z targiem przedświątecznym pszenica straciła tam kop. 10, jęczmień zaś zyskał kop. 30, owies 15 i groch 19 na korcu. Ceny innych produktów w tymże czasie były w Łodzi następujące: pud kaszy jaglanej rs. 1,65, jęczmiennej 1,80, tatarczanej grubej 2,20, drobnej 4,25; sążeń drzewa sosnowego rs. 16, brzozowego 17; funt świec stearynowych 25 kop., łojowych — 18, kwarta mleka 7, funt masła 40—60.

Siedlce, 31 grudnia: żyto płacono (za korzec) rs. 7,50, pszenicę 8,50, kartofle 2,40 za korzec. Lekka i bezmroźna na szczęście zima utrzymuje ceny węgla kamiennego w mierze (!) — pud 18 kop., koks 33, sążeń drzewa dębowego 9 rs., brzozowego 9, sosnowego 8,50. Garniec nafty (wypada tam dla spożywcy 28 kop. — pud rs. 1,40. Haracz taki płacić on musi monopolowi trzech przedsiębiorców, którzy opanowali miejscowy rynek naftowy.

Porównywając rynek łódzki z siedleckim, widzimy olbrzymie różnice cen: żyto na pierwszym z nich jest droższe, niż na drugim o 50 kop., kartofle — o 60 kop., drzewo sosnowe — o *połowę*. Za to paliwo najemnik siedlecki opłaca bodaj o kopiejkę drożej, niż warszawski.

Na rynku warszawskim (plac Witkowskiego) w d. 3 stycznia, przy silnym popycie, pszenicę wyborową sprzedawano po 8,70, średnią białą po 8,30 do 8,40, pstrą po 8,15. Podaż tego ziarna wynosiła 600 korcy. Żyta zaofiarowano 150 korcy i przy popycie słabszym płacono za dobre 7,50 do 7,60. Mąka nie doznała żadnej zmiany w tygodniu ubiegłym. Chociaż zapotrzebowanie jej było cokolwiek większe, ale podaż przewyższała znacznie popyt, ceny więc nie mogły się podnieść. Miasta portowe, szczególnie Odesa, dostarczają dużo tego towaru. W składach tranzytowych na Pradze w d. 4. stycznia pozostało wytworów roślinnych 806 wagonów, a wyszło — 3. W ciągu ubiegłego tygodnia (do 26 grudnia z. r.) Warszawa z Pragą spożyła 18,484 p. wołowiny, 12,936 p. wieprzowiny, 433 p. baraniny i 761 p. cielęciny — razem konsumcya mięsa wynosiła 32,615 p. Cyfra ta mniejszą jest od zeszłotygodniowej o 518 p. Ceny średnie za funt mięsa pierwszej dobroci były następujące: wołowina i wieprzowina 12 k., baranina 10, cielęcina 13, świeża słonina 18. Wół stepowy wart był od rs. 68 do 107, krowa dojna od rs. 52, wieprz od 16 do 43.

Rynek pieniężny. Ruble i wartości ruskie na giełdzie berlińskiej (w d. 5 stycznia) miały dobry pokup. Ruble w tranzakcyach końcomiesięcznych miały cenę 197,75 marek za sto, w chwili zaś urzędowego zamknięcia obrad giełdy berlińskiej zdrożały w stosunku 200 marek.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

W obronie życia i zdrowia najemników.

Wydane zostały przepisy o kotłach parowych i motorach, obowiązujące właścicieli zakładów przemysłowych i maszynistów u nas. W miejscach, gdzie są manometry, wodomiary i inne przyrządy kontrolujące, ma być tak widno, żeby z łatwością można było dostrzegać wskazówki przyrzą-

dów; manometry mają wskazywać najwyższe dozwolone ciśnienie pary w kotle, wodomiary zaś najniższy dozwolony poziom wody; napełnianie klapy bezpieczeństwa nie może przewyższać normy, wskazanej w świadectwach mechanika gubernialnego o wytrzymałości kotła; oddziały maszyn i pracownie winny być połączone z dzwonkami, któreby mogły głośno sygnalizować o puszczeniu maszyny w ruch i dawać znać o potrzebie zatrzymania jej; maszynista przed uruchomieniem maszyny lub jej zatrzymaniem ma o tem zawiadamiać wszystkie pracownie głośnym sygnałem, oraz starać się o zachowanie jej w całości; jeżeli zaś dostrzeże jakiekolwiek jej uszkodzenie, wstrzyma ją i uwiadomi o tem zawiadowcę fabryki i tylko z jego decyzyi puści maszynę w ruch napowrót; nie oddali się od niej, nie powierzywszy jej swojemu zastępcy; oczyszczanie i smarowanie odbywać się ma tylko wtenczas, gdy ona jest nieczynna, smarowanie zaś podczas ruchu dozwolonem jest tylko wtedy, jeżeli zaprowadzone zostaną stosowne przyrządy ochronne.

Przepisy zaś zabezpieczające robotników od wypadków w fabrykach i warsztatach są następujące: Wszystkie pracownie winny być odpowiednio oświetlone dziennem lub sztucznem światłem, jako też schody, przejścia i ustępy; wszystkie miejsca niebezpieczne, kotły, galerye, balkony, doły, łuki, otwory itp. winny być ogrodzone; niebezpieczne części warsztatów i maszyn stosownie osłonione lub ogrodzone ścianami i sztachetami; narzędzia mechaniczne, instrumenty i wszelkie inne przybory wydawane robotnikom mają być utrzymane w wielkim porządku. Przepisy o środkach ostrożności, zapobiegających wypadkom, winny być wywieszane w miejscach widocznych i dostępnych; fabrykanci obowiązani są prowadzić ciągle szczegółową listę wszystkich wypadków nieszczęśliwych na ustanowionych blankietach; o każdym wypadku większym czy mniejszym właściciel fabryki lub zakładu przemysłowego winien zawiadomić inspektora fabrycznego. (*Gaz. polic.*).

Zmiany w służbie. Prezydujący w sądzie okręgowym płockim Pletz został mianowany prezesem sądu okręgowego w Warszawie w miejsce p. Czerniawskiego, który otrzymał nominacyę na prokuratora izby sądowej odeskiej. Kowalewski, został mianowany prezydującym sądu okręgowego lubelskiego. Docent Instytutu klinicznego J. C. W. Wielkiej Księżny Heleny Pawłowny, Fr. Teodor Openchowski, objął katedrę kliniki szpitalnej terapeutycznej w Charkowie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Nowe przepisy, szczegółowo określające obowiązki wszystkich kantorów, pośredniczących w umieszczaniu guwernerów, guwernantek, bon i oficyalistów, są już opracowane. Odpowiedzialność przedsiębiorców wobec publiczności będzie znacznie zwiększoną.

— Projekt ustawy Towarzystwa homeopatów w Warszawie przesłano do zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych.

— Lubelskie stowarzyszenie kunsztu stolarskiego obchodziło w tych dniach setną rocznicę założenia w Lublinie cechu i gospody stolarskiej.

— Resursa obywatelska w Radomiu liczy obecnie 227 członków, w r. z. przybyło 20, ubyło 53. Dochodu razem z remanentem roku poprzedniego miała 10,814 rs. 71 kop., wydatki wyniosły 7,733 r. 90 kop. Resursa prenumeruje 52 dzienniki i pisma peryodyczne. Biblioteka liczy 3,135 tomów.

— Zarząd m. Krakowa z powodu drożyzny przyznał wszystkim bez wyjątku urzędnikom, nauczycielom, nauczycielkom, straży ogniowej, tudzież wszelkiej służbie miejskiej jednorazowy t. zw. „dodatek drożyźniany.“

Szkoły. W ubiegłem półroczu wydział lekarski w Dorpacie z prawem do stopnia doktora medycyny ukończyli pp.: Władysław Epstein, Władysław Kalenkiewicz, Rajmund Lande i Józef Winiarski. Ze stopniem lekarza: pp. Zygmunt Karpowicz i Feliks Pancerzyński.

— W sprawie dopuszczenia kobiet do praktyki aptekarskiej wyjaśniono, że kandydatki posiadające patenty na nauczycielki domowe, obowiązane są składać egzamin tylko ze znajomości języka łacińskiego w zakresie kursu czterech klas. Egzaminy te mogą być składane we wszystkich gimnazyach, progimnazyach oraz komitetach egzaminacyjnych.

Z Duninowa donoszą, że w osadzie fabrycznej „Leonów“ byłoby bardzo pożądane osiedlenie się nauczycielki. Osada liczy około tysiąca mieszkańców, a posiada tylko jedną szkółę, za ciasną dla wszystkich dzieci. Nauczycielka miałaby tam dużo zajęcia i znalazłaby niezawodnie poparcie u zarządu cukrowni. Nauczyciel miejscowy pobiera za lekcye prywatne od jednego dziecka po 3—5 rs. miesięcznie.

Wystawy. Do rady Towarzystwa technicznego w Petersburgu wniesiono propozycyę urządzenia w r. b. wystawy wyrobów z aluminium.

— Wystawa stała prób i wzorów w Warszawie, której zarządzający po ustąpieniu Tadeusza Zaleskiego jest obecnie p. Stanisław Piotrowski, przeniesioną będzie z Muzeum przemysłu do nowego lokalu w ruchliwszej dzielnicy miasta.

— Do rady Towarzystwa ogrodniczego w Petersburgu wniesiono projekt urządzenia wystawy ogrodniczej w jesieni r. b.

Konkursy. Towarzystwo muzyczne rozstrzygnęło konkurs na opracowanie ludowych pieśni polskich, na chór lub głos pojedynczy z towarzyszeniem fortepianu. Zaledwie pięciu muzyków nadesłało 21 pieśni. Nagrodzono dwie. Pierwszą nagrodę otrzymał p. T. Sołtys ze Lwowa, drugą p. Bohdan Borkowski z Warszawy.

— Nagrodę konkursową w kwocie rs. 200, ogłoszoną przez redakcyę *Gazety lekarskiej* dla uczczenia jubileuszu Hoyera, otrzymał p. Karol Zaleski za pracę p. t. „Naczynia krwionośne kręgosłupa.“

Zmarli. A. Porębski w Warszawie. Dziennikarz, b. redaktor *Tygodnia* piotrkowskiego, współpracownik *Kuryera porannego*.

— Józef Perwolff, w Warszawie, profesor uniwersytetu na katedrze języków i literatury słowiańskiej.

— Emil de Laveleye, znany ekonomista. Ur. r. 1822 w Brages; od r. 1864 był profesorem ekonomii politycznej w Liège, Z prac ważniejszych; „Larmie et l'enseignement,“ „L'enseignement obligatoire,“ „La question d'or,“ „Essai sur l'economie rurale en Belgique,“ „L'instruction de peuple.“

OFIARY.

Na wpis dla niezamożnych uczniów: S. A. z Odesy rs. 30, K. Z. rs. 3.

Dla biednych: J. z Rostowa kop. 50.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Декабря 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**